

### Nieco o górskich sprawach



Foto: Juliusz Wystouch

W naszych górach żyją, mieszkają i pracują miliony ludzi, dla których są one naturalnym, wręcz niedostrzegalnym otoczeniem. W górach przebywają jednak też nie mniej liczni ludzie, dla których góry pozostają sposobem na życie, którzy wręcz twierdzą, że "żyją" jedynie w nich i dla nich, chociaż w rzeczywistości większość czasu spędzają w znacznym nieraz oddaleniu od gór, ale myślami pozostają w nich stale. Miłośników gór nie brakuje w żadnym zakątku kraju i w żadnym środowisku. W górach bywają i wędrują po nich setki tysięcy - jeżeli nie miliony - ludzi, i to o każdej porze roku. Oczywiście, różne góry widzą i odczuwają, ale na ogół prawie wszyscy szukają w nich odpoczynku, zdrowia, wrażeń, przeżyć. Chcieliby też spełniać swoje pragnienia w zdrowym i pięknym otoczeniu.

Tymczasem miłośnicy gór nie mają prawie żadnego wpływu na to, co dzieje się w górach. Góry się kurczą poprzez urbanizację (rozbudowę nawet małych miejscowości) rozwój komunikacji, przemysłu, dewastowane są i degradowane przez przemysł wydobywczy, rolnictwo, ale też i poprzez zabudowę rekreacyjno-wypoczynkową. Część obszarów górskich znajduje się już w stanie klęski ekologicznej, wszystkie pozostałe pasma są silnie zagrożone. Degradacja i dewastacja środowiska przyrodniczego gór postępuje w galopującym tempie, i właściwie bezkarnie. Wszyscy interesują się ekologią, walczą o ochronę środowiska - ale poza własnym podwórkiem. Widać to wyraźnie w poczynaniach wielu samorządów terenowych gmin górskich, które najczęściej z braku środków (albo zainteresowania) odwołują większość decyzji i inwestycji proekologicznych, zwłaszcza jeśli pociągnęłyby za sobą koszty. Tym samym odwołane są faktyczne próby podjęcia kompleksowej ochrony naszych gór.

Dlaczego tak się dzieje? Sądzić należy, że między innymi dlatego, iż turyści i miłośnicy gór nie reagują dostatecznie szybko, głośno i zdecydowanie na wszelkie nieprawidłowości i zagrożenia. Opinia publiczna dowiaduje się często dopiero po fakcie o zaistniałych wydarzeniach, a interesy miłośników gór przegrywają z bardzo prymitywnie podejmowanymi korzyściami ekonomicznymi i potrzebami gospodarczymi.

Wszyscy miłośnicy gór, bez względu na przynależność organizacyjną, przekonania i zapętrzenia powinni starać się we własnym, dobrze pojętym interesie docierać ze swoimi problemami i potrzebami do szerokiej opinii publicznej, odbudowywać kredyt społecznego zaufania i uzyskać odpowiedni autorytet dla środowiska. Musimy uzyskać powszechną akceptację dla stanowiska, że nie w sprawach górskich nie może odbywać się bez wiedzy i wbrew intencjom turystów górskich.

(dokończenie na stronie 2)

## Nieco o górskich sprawach

(dokończenie ze strony 1)

Musi istnieć przekonanie, że żadne poczynania kogokolwiek nie mogą być popierane, jeśli ich celem nadrzędnym nie jest ochrona gór.

Dlatego też uważamy, że wszyscy zainteresowani powinni mieć możliwość swobodnej wypowiedzi w każdej sprawie mającej jakikolwiek związek z turystyką górską, we wszystkich jej formach i przejawach - od spaceru po alpinizm i speleologię. Dopominajmy się o swoje prawa i potrzeby, a istnieje szansa, że zostaną one wreszcie zauważone i docenione nie tylko w postaci głośnych deklaracji. Łamy "Na Szlaku" pozostają otwarte dla wszystkich i w każdej sprawie.

Jedną z bardziej palących aktualnie spraw jest przyszłość schronisk. Przemiany zachodzące w gospodarce kraju dotyczą również i nas. Próby prywatyzacji i przekształceń własnościowych stanowią poważne zagrożenie dla przyszłości schronisk górskich, będących w końcu naszą wspólną własnością. Zagrożenia rysują się z różnych stron, wewnętrzne w PTTK i zewnętrzne w działaniach administracji i samorządów lokalnych. Pilne jest znalezienie takich form organizacyjnych, własnościowych, ekonomicznych, które byłyby w stanie zapewnić egzystencję schronisk dla turystów na optymalnych warunkach. Wydaje się, że nie możemy i nie powinniśmy w tej sprawie milczeć, bowiem wkrótce możemy być pozbawieni podstawowej bazy w górach. Cóż nam z tego, że na jej miejscu pojawią się hotele górskie czy prywatne pensjonaty nie na kieszeń przeciętnego turysty. Szukajmy sami właściwych rozwiązań, dyskutujmy, proponujmy. Bez wątplenia powinni też zabrać głos zarówno użytkownicy-turyści, jak i ci, którzy obiektami administrują i gospodarują (ajenci, dzierżawcy, kierownicy) czy remontują je.

Konieczne jest jak najszybsze informowanie opinii publicznej, a przede wszystkim środowiska turystów, o wszelkich próbach pozbawienia nas bazy noclegowej niezbędnej do prowadzenia działalności programowej, niezbędnej dla uprawiania turystyki górskiej. W końcu schroniska stanowią wspólny, blisko stu dwudziestoletni, dorobek ogółu członków PTTK i PTTK. Jest to nadal jedyna w górach naprawdę powszechnie dostępna baza noclegowa. Do schroniska każdy może wejść i przenocować za stosunkowo jeszcze przystępną cenę. Bez schronisk góry staną się pustynią, po której będą wiodły co najwyżej nieuczęszczane szlaki.

Marek Staffa

## LISTY, OPINIE, POLEMIKI

### Refleksje

### zza wielkiej wody

W sierpniu 1990 r. otrzymałem od Redakcji z Wrocławia 12 egzemplarzy archiwalnych numerów "Na Szlaku", za co serdecznie dziękuję.

Wśród wielu ciekawych materiałów moją uwagę przykuły dwa krytyczne teksty Arkadiusza Dobrzyńskiego zamieszczone w numerze 1/19 z 1990 r. Autora znalazłem dotychczas jako sprawcę pięknego tekstu o krzyżach płytowych zamieszczonego w numerze 9/1989 "Przydrożnych Pomników Przyszłości". Pierwszy z nich: "Inwentaryzacja okolic, okolicy inwentaryzacji" - dotyczy wyników krajoznawczej inwentaryzacji gminy Wiązów. Pracy nie czytałem, więc nie mogę jej ocenić. Mogę natomiast ustosunkować się ogólnie do idei krajoznawczej inwentaryzacji Polski, którą uważam za chybiony pomysł. Autorzy tej kolejnej akcji w stylu "Polska naszych dni" nie bardzo pamiętali o starym i znanym porzekadło: "mierzyć siły na zamiary". Sił nie zmierzono i efekty dają znać o sobie. Zjemy przecież w czasach, kiedy naocześnie można sprawdzić, co zostaje z pięknych idei budowanych na kruchych, utopijnych podstawach. Prócz Dolnego Śląska i kilku większych miast polskich, ruch krajoznawczy nie urósł jeszcze w taką potęgę, aby dobrze podolał tak gigantycznemu zadaniu. Praktycznie rzecz biorąc brak jest tylu autentycznych "zapaleńców", a jednocześnie fachowców w poszczególnych dyscyplinach nauki, aby efekt listy miał zadowalającą jakość. Stąd "zawodowcy" będą sobie używać na inwentaryzacji krajoznawczej tak, jak to skutecznie robi A. Dobrzyński. Już wcześniej dałem wyraz przekonaniu o celowości prowadzenia inwentaryzacji krajoznawczych monotematycznych na mniejszych obszarach (miasto, gmina, grupa góriska itp.). Minęły bezpowrotnie czasy amatorszczyzny i to nie tylko w gospodarce! Niech biolodzy i leśnicy opracowują wyniki inwentaryzacji dendrologicznej, językoznawcy analizują oronimia gór, a historycy sztuki niech mają nadzór nad takimi "działami", jak to o Wiązowie. Niech "Bracia krzyżowcy" tropią zabytki archeologii prawnej... Zrobią to szybciej i lepiej, a efekty pracy będą miały swoją wartość poznawczą. W przeciwnym wypadku A. Dobrzyński będzie miał stałe zajęcie po opublikowaniu kolejnych zeszytów z inwentaryzacji.

Drugi tekst "O krzyżach pokutnych źle" dotyczy broszurki J. Grabowskiego "Krzyże i kapliczki pokutne na ziemi kłodzkiej", Kłodzko 1988, którą to pracę znam i posiadam. W zupełności zgadzam się z autorem tekstu, że wartość "działka" J. Grabowskiego jest bardzo mizerna. Jednak tak samo, jak A. Dobrzyński krzywi się na część wstępną pracy J. Grabowskiego, tak i mnie

bardzo trudno strawić część wstępną tekstu autora. A. Dobrzyński swoją awersję do zabytków pokutnych trzykrotnie ujawnia określeniem "żw. krzyże i kapliczki pokutne". Dlaczego "tak zwane"? Tego czytelnik nie może się dowiedzieć... Krzyżami pokutnymi zainteresowałem się z początkiem lat sześćdziesiątych. Jest to chyba właściwy dystans, aby stwierdzić, czy rozwinęła się nasza wiedza o tego rodzaju zabytkach. Uważam, że działalność J. Milki i A. Scheera popchnęła naszą wiedzę o zabytkach pokutnych daleko do przodu, a jak ona rozwija się aktualnie, to autor powinien coś niecoś wiedzieć jako członek "Bractwa krzyżowców". Odnoszę wrażenie, iż A. Dobrzyński jako "młody - gniewny" historyk sztuki oczekuje w dziedzinie zabytków archeologii prawnej jakiegoś epokowego odkrycia - nie na miarę Hellmicha, ale co najmniej Kopernika czy Einsteina! Przecież ustalenia szerepłego grona "kilku zaledwie badaczy" mogą być w każdej chwili poszerzone o osobę p. Andrzeja. Trzeba tylko wnieść coś "rewolucyjnego" do sprawy, bo gdzie rewolucja, tam i sprawa. Mam też wrażenie, że miejscami autor zapomina do jakiego pisma wysłał swój tekst, skoro rozpoczyna "naukową krytykę" zagadnienia. Tutaj trzeba powiedzieć twardo: STOP! Krajoznawstwo to tylko przedpole nauki, ale bez tego przedpola żywot licznych naukowców byłby bardzo ciężki. Każdy, kto pisał pracę tego typu, od magisterskiej zaczynając, wie, że samo pisanie zajmuje zaledwie czwartą część czasu, resztę zjada zbieranie i opracowywanie materiału. Krajoznawcę nie obowiązuje synteza i stawianie hipotez, kończy swoją rolę na zestawieniu zbioru obiektów. Nie musi to być nawet zestaw usystematyzowany... Przed czterema laty pisząc jedyną większą recenzję książki A. Scheera zaznaczyłem: "Poszukiwania obiektów są po prostu wstępną czynnością naukową, zwaną heurystyką. Na tym etapie nauka i krajoznawstwo idą jeszcze razem. Rozchodzą się dopiero w fazie hermeneutyki - sprawdzaniu wiarygodności odnalezionych obiektów. Wymagania nauki są po prostu wyższe...". I w ten sposób doszliśmy do sedna problemu: kto ma obowiązek weryfikacji tak zebranego materiału i stwierdzenia "prawdziwości naukowych ustaleń"? Krajoznawcy czy naukowcy? Niech czytelnik osądzi sam... Oczywiście, że nie wszystkie monolityczne kapliczki i krzyże muszą być akurat pokutne, ale czy można na podstawie podejrzenia wyrzucić je ze spisu obiektów i... zapomnieć? W dodatku przed naukową weryfikacją? A tej jakości nie widać! Kandydata do tego - również! Chuchajmy więc i dmuchajmy, a nuż z autora tekstu "O krzyżach pokutnych źle" - obecnie gorliwego krytyka, wyrosnie z czasem wybitny historyk sztuki i napisze o nich dobrze. Co daj nam Boże!

Jerzy K. Bienkowski (Detroit)

## Sudeckie ciekawostki

Koralowa Ścieżka w Karkonoszach to w istocie Góralska Ścieżka. Jak wyjaśniał to niejaki Otto z Jagniątkowa (Wanderer im Riesengebirge 1899.7.102) edytem Fryderyka II z 19.11.1767 r. w rejonie tym mogli osiedlać się górale z Karpat Zachodnich. Rychło zajęli się oni także przemysłem przez granicę, stąd określenie Gorall stało się synonimem przemysłowca. W rezultacie z Gorallen zrobiło się Corallen i po skalkowaniu tej ostatniej nazwy weszło po 1945 r. do użytku jako Koralowa. A wielu turystów głowi się, o jakie to koralale tu chodzi! Przemysłowcy zatrzymywali się często w niewielkiej grocie na zachód od Śnieżnych Kotłów zwanej Winną Piwnicą.

Schronisko na Szenicy zostało wzniesione w latach 1921 - 1922 przez Kurta Endlera po wykupieniu przezeń terenów od Schaffgotschów. W 1954 r. zostało ono przekształcone w strażnicę WOP, w rok później w schronisko Dolnośląskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego pod nazwą "Patria". Tako że wstąpiło ono w 1947 r. do PTTK, obiekt stał się własnością tego Towarzystwa, a później PTTK. W końcu lat sześćdziesiątych przystąpiono do remontu, który trwa do dziś. W grudniu ub. roku brakowało jeszcze 2,5 mld zł na jego dokończenie, przy czym większość kosztów wiąże się z pracami zewnętrznymi. Podobno w tym roku ma być uruchomione, a prezydium ZG PTTK zapewnia, iż nie ma mowy o wypuszczeniu go w inne ręce.

Muflon to dzika owca górską, piękne zwierzę sprowadzone na kontynent z Korsyki i Sardynii dla wzbogacenia miejscowego stanu zwierząt łownych. Pierwsze okazy w Sudetach zostały przywiezione w 1902 r. przez hr. Sandreckiego ze Słowacji. Były to 2 kozły i 3 owce. W Karkonoszach osiedlano je w latach 1912 i 1913, w Górach Wałbrzyskich w 1914 i 1921 i w Masywie Śnieżnika - 1928 i 1929. W 1937 r. muflonów było już 250 sztuk, a w 1950 r. aż 664. Niestety, kłusownictwo, dziczyzna i niekontrolowane psy przetrzebiły ten gatunek do 159 sztuk w 1968 r. i kilkudziesięciu sztuk obecnie. Przykładowo, w Masywie Śnieżnika występują już tylko sporadycznie. Wielka szkoda. Po 1945 r. wprowadzono je także w Górach Świętokrzyskich.

## W NUMERZE - między innymi:

"NA SZLAKU" Z KTG ZG PTTK	str 5
SPRAWA: SCHRONISKA	str 6, 7
GÓRY I ALPINIZM	str 10,11
ŚLĄSK	str 12,13
GLOBTROTER	str 14
ROZMYŚLANIA NA SZLAKU, RZECZNIK PRASOWY DUCHA GÓR	str 17
W ŚRODOWISKU WROCŁAWSKIM	str 18,19
MORD NAD BOBREM	str 16

ponadto: reportaże, ciekawostki, krzyżówka

**NA SZLAKU** - dwumiesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony górcom.

**Zespół redakcyjny:** Włodzimierz Bieroński (red. techniczny), Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny), Stanisław Nosol (sekretarz redakcji), Jacek Rajski, Ryszard Szlagor. **Stale współpracują:** Julian Janczak, Ryszard Jaźwiński, Aleksander Lwow, Andrzej Matuszczyk, Jacek Potocki, Roman Rubin, Leszek Sawicki, Julian Wystouch.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie również prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów nie zamówionych.

**Adres Redakcji:**  
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, tel. 44-26-95

**Wydaje:** Regionalny Ośrodek Programowy PTTK we Wrocławiu.

**Skład i opracowanie graficzno-techniczne:**  
ROP PTTK Wrocław

**Druk ZMPWIMBP**      **Nakład 2000+70 egz.**

**Cena numeru: 5000 zł. Prenumerata roczna: 24 tys zł.** Numery zdeaktualizowane można nabyć w Redakcji.

## Nowy rok - nowe nadzieje

Nielatwy, a nawet wręcz bardzo trudny był miniony rok - na każdym niemal kroku. Zaczęły się wreszcie przemiany w naszym kraju: wybraliśmy własne, bliższe nam samorządy terytorialne, wybieraliśmy (choć na pewno nie tak, jak by się chciało po tylu latach, trudno jednak się dziwić) prezydenta. Rozpoczęły się na wielką skalę reformy naszego życia gospodarczego: prywatyzacja, komercjalizacja, bezrobocie, nawroty inflacji, ciągle tragicznie z mieszkaniami. Zewsząd kłopoty, kontrowersje, niepewność. Sytuacja typowo stressogenna. Nawet lato nie przyniosło zbyt wiele wyciszenia. Szalejące ceny uniemożliwiły wielu rodzinom wypoczynek po ciężkiej pracy. Mniej było kolonii, obozów i także młodzieżowych szkół turystyki. Coraz mniej bezpośredniej pomocy ze strony państwa, coraz biedniejsza nasza rzeczywistość. Kogo stać na pełny wypoczynek za kwoty przekraczające znacznie nasz miesięczny zarobek? Mimo to, coś wreszcie drgnęło. Może niedużo, ale zawsze coś. Hiperinflacja przyduszona (inna rzecz, że w dużej mierze "popiwkami"), po wakacjach jakby się poprawiły wskaźniki produkcji, no i ten ruch w sklepach. To dziwne - tak wiele osób narzeka na biedę w Polsce, a używane rzeczy, nadchodzące w zachodnich darach, nie znajdują chętnych! Komisje i stragany na targowiskach przyjmują wyłącznie rzeczy nowe i to modne! Jak to więc jest? Popatrzmy na bazy, sklepy - przelewają się tłumy klientów i... kupują, więc chyba tak źle nie jest. Następuje duża dywersyfikacja społeczeństwa, a większość przejada po prostu swoje zarobki, bo na nie więcej ich nie stać. Czy nowy prezydent jest w stanie szybko zmienić sytuację? Mrzonki, proces wychodzenia z dolka, a właściwie głębokiego dołu potrwa jeszcze parę lat, choć oczywiście na różnych płaszczynach ze zmiennym tempem. Handel już ruszył, powstaje na razie warstwa, a wkrótce zapewne klasa bardzo zamożnych, o ile nie bogatych prywatnych kupców. Rzecz jednak w tym, by ruszył i przemysł. W tym nasza nadzieja.

Także i dla naszego Towarzystwa był to niezmiernie trudny rok. Trwała niepewność w związku z oczekiwaniami na nowelizację ustawy o stowarzyszeniach, co w końcu zaowocowało doświadczeniem XII Zjazdu Krajowego. Tenże wypowiedział się przeciwko pośrednim strukturom zarządzania PTTK. Zaczęto więc po wakacjach likwidować zarządy wojewódzkie. Duża grupa działaczy się ucieszyła, ale jeszcze większa grupa poczuła się opuszczona przez władze naczelne i niezrozumiana w swoich aspiracjach. Oczekiwanie na możliwość pracy programowej na szczeblu powyżej oddziału zderzyło się z brakiem koncepcji je zaspokajającej. Długo trwało, zanim zostały powołane regionalne ośrodki programowe. Trwała

przepychanka, gdzie je zlokalizować. Sprawy prywatne i interes Towarzystwa. Nie jest tak łatwo pogodzić te dość rozbieżne czasami tendencje. Przeprowadzony został IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego, stojący na wysokim poziomie merytorycznym, choć nie usuwający wszystkich wątpliwości i nie odpowiadający na wszystkie pytania. Cóż, Towarzystwo jest takie, jak całe społeczeństwo. Nie wszyscy rozumieją, co się dzieje i w jakim kierunku dalej iść. Na pewno jednak Kongres wykazał, że elastyczne w końcu krajoznawstwo w realizacji PTTK jest nośną płaszczyzną działania. Bo rzecz charakterystyczna: ani w życiu Towarzystwa, ani na Kongresie nie ujawniły się agresywne, głębokie podziały polityczne, którymi targane jest nasze społeczeństwo. Oczywiście, spieramy się o to czy o tamto, czasami bardzo ostro, ale nie na podłożu politycznym. To dobrze - bo przecież to między innymi przed polityką uciekamy w działalność petetkowską, w turystykę i krajoznawstwo.

Koniec roku przyniósł też pierwsze kroki w reformie gospodarczej Towarzystwa. Już dłużej nie można sterować ręcznie przedsiębiorstwami PTTK. Tu i teraz trzeba profesjonalistów, znających dobrze skomplikowane, a zarazem bezwzględne warunki rynkowe. Nie wszyscy to rozumieją, mało kto jest w stanie wziąć udział w tej grze. Dlatego też "nowe" rodziło się długo i nie zawsze szczęśliwie. A czas pracował przeciwko nam - kadra kierownicza naszych przedsiębiorstw rwała się do samodzielności, opuszczenia PTTK, albo - przeciwnie, nie nie robiła, czekała na decyzje ZG i powiększała niekorzystne rezultaty ekonomiczne. Wreszcie podjęto decyzję - należy jak najszybciej skomercjalizować i sprywatyzować majątek gospodarczy PTTK. Aktyw, sprawujący o wiele luźniejszy nadzór nad nim, otrzyma bardzo przejrzysty i jedyny wskaźnik oceny efektywności: zysk. I jego część będzie przeznaczona na działalność programową. Jak zwykle, nie zabrakło panikarskich plotek czy wręcz pomówień, iż, przykładowo, Zarząd Główny chce posprzedać schroniska, pozbyć się stanic i domów wycieczkowych. Absolutna nieprawda! Ta część majątku PTTK została uznana za majątek programowy, nie podlegający zbyciu, a wręcz przeciwnie - szczególnie troszczone. Czy to coś pomoże schronisku na Szrenicy, które potrzebuje 2,5 mld zł na bliskie już zakończenie remontu, albo Domowi Turysty w Warszawie? Miejmy nadzieję, iż tak.

W tej tak skomplikowanej sytuacji wydawaliśmy nasz magazyn. Bardziej przypominają to taniec na linie niż normalną pracę redakcyjną. Jedyne, co było niezawodne, to nasi autorzy, od których otrzymywaliśmy dużo tekstów (choć przydałoby się jeszcze więcej) i drukarnia. Ze

wszystkim innym były stale kłopoty: jakoś nie największe, na szczęście, z finansami, ale z przepisywaniem, składem, montażem. Stali Czytelnicy zauważyli zmiany, jakie zachodziły niemal w każdym numerze. To nasza troska, by w tych skromnych warunkach działalności (pracujemy w zasadzie społecznie) przygotować jak najlepiej poszczególne numery. Technika poligraficzna idzie wciąż naprzód, a komputeryzacja wydatnie w tym pomaga. Coraz więcej prac upraszcza się, może być też wykonywana kameralnie. Pod koniec zeszłego roku nie tylko zaczęliśmy przechodzić na skład komputerowy, ale i na wydruk metodą laserową. Mamy nadzieję, że ten najnowocześniejszy i zarazem atrakcyjny sposób zdołamy utrzymać na stałe (o ile nie pojawi się znowu coś nowego!). Zarząd Wojewódzki PTTK we Wrocławiu, nasz dotychczasowy wydawca, zaprzestał działalności od 3. stycznia. Znaleźliśmy się pod opieką Regionalnej Pracowni Krajoznawczej w składzie Regionalnego Ośrodka Programowego PTTK we Wrocławiu. Będzie z pewnością nie gorzej. Tylko skąd pomoc finansowa? ROP nie będzie miał takich środków, jak ZW. Gdy piszę te słowa u schyłku 1990r., są to duże niewiadome. Może gdzieś coś nam kapnie. Nie ukrywam - w dużym stopniu liczymy na Czytelników: im więcej ich będzie, tym niższe koszty wydawania, co pozwoli nam utrzymać się w tak niezwykle trudnych warunkach, ale i być może nie zmieniać ceny. Bo już słyszmy wokół o podwyżkach kosztów poligrafii - papieru, druku itp.

W tym wszystkim jednak pomyśleliśmy o zmianie, choć niedużej, profilu naszego magazynu. Chcemy ograniczyć się do tematyki górskiej i działalności górskiej. Przeważała ona zresztą do tej pory, a więc zmiana nie będzie zbyt radykalna. Oczywiście chodzi nam tu o tematykę szeroko rozumianą: wszystko, co dotyczy gór, interesuje nas, a więc zagospodarowanie, i folklor, i przyroda, i dzieje, i wyprawy. W formie magazynowej chcemy przekazywać jak najwięcej treści o wszystkich górach, z całego świata i z różnych kręgów. Oczekujemy, iż pomogą nam w tym Czytelnicy - czekamy i na ich teksty! Dziś turystyka i krajoznawstwo nie zamyka się w granicach kraju - wkraczamy z wolna do Europy i coraz częściej bywamy w świecie. Nie zabraknie więc różnych reportaży i ciekawostek spoza Polski. Nadzieją naszą jest pozyskiwanie coraz szerszych kręgów odbiorców i utrzymywanie z nimi serdecznych kontaktów. Sądzimy, iż "Na Szlaku" będzie jeszcze jedną płaszczyzną, która pogłębi przyjacielskie stosunki między wszystkimi wędrującymi po turystycznych szlakach i krajoznawczych meandrach.

## Zbyt dużo ofiar!

Ubiegły sezon zimowy był jednym z najbardziej tragicznych sezonów w naszych górach. Zginęło, głównie w Tatrach, 17 osób. Wśród ofiar było wielu turystów. Ciekawe, że wypadki następowały seriami, w krótkich odstępach czasu. Nie będę omawiał wypadków wspinaczkowych, gdyż wynikały one często z innych przyczyn. Przedstawię natomiast kilka najbardziej charakterystycznych wypadków turystycznych. Najwięcej ofiar zanotowano w Tatrach; w okresie świąteczno-noworocznym wydarzyło się ich aż jedenaście. W górach było prawie bezśnieżnie, panowała jednak głołedź. Chodzenie po zwykłych ścieżkach było utrudnione, a oblodzone szlaki wysoko w górach stały się wyjątkowo niebezpieczne. Mieliśmy słoneczną pogodę i patrząc z daleka wydawało się, że na szlakach są idealne warunki. Było to bardzo mylące wrażenie. Znaczeni pięknymi widokami turyści i wycieczkowiec ruszyli w góry. Dla niektórych te wycieczki stały się ostatnimi w życiu. Najwięcej tragedii zdarzyło się w wyniku poślizgnięcia na oblodzonych stokach i perciach. Tych wypadków można było uniknąć. GOPR ostrzegało przed wychodzeniem w wyższe partie gór, apelowało nawet w telewizji, by osoby niedysponujące odpowiednim sprzętem

powstrzymały się przed wysokogórkimi eskapadami. Niestety, mało kto przejmując się u nas apelami o rozsądek. Widywałem zimą w Tatrach wycieczkowców w obuwiu i ubiorach nadających się co najwyżej na lekko ośnieżone Krupówki. W połowie zbocza prowadzącego na zachodni wierzchołek Świnicy spotkałem "turyście" w zwykłym, miejskim stroju, który nawet nie zareagował na ostrzeżenia kierowane do niego. Pod szczytem Kościeleca, na pochyłych, oblodzonych płytach, natknąłem się na amatora mocnych wrażeń obutego w trampki i oczywiście bez czekana czy tzw. dziabki. Ten jednak dał się sprowadzić na dół, na przełęcz Karb.

Opinią publiczną wstrząsnął szczególnie wypadek w rejonie Czerwonych Wierchów, a właściwie ciąg zdarzeń zakończony śmiercią czterech turystów. Przebieg wypadku nie został precyzyjnie wyjaśniony, ale najprawdopodobniej odbyło się wg typowego schematu: zabłądzenie, panika, zmęczenie, wychłodzenie i fatalny koniec - śmierć! Jest to, oprócz upadków na oblodzonych perciach, typowy przykład tragedii w górach. Pamiętamy wszyscy (?) tragedię na Pilsku i fatalny wypadek na Babiej Górze, raptem sprzed trzech lat. Zdarzenia te, jak się wydaje, niewiele nauczyły naszych

turystów. Chodzą zimą po górach źle wyposażeni, a właściwie wcale nie wyposażeni. Wciąż uważają się, że raki i czekan to sprzęt właściwy taternikom. Jest to efekt braku właściwej edukacji turystycznej w naszym kraju. Telewizja, będąca najpowszechniejszym nośnikiem informacji, przeważnie pokazuje góry jako miejsce wesołej, beztrudnej zabawy, a prasa rzadko kiedy wychodzi w swoich relacjach z gór poza konwencję sensacji. Naszym turystom przydałby się porządny podręcznik turystyki górskiej z elementami taternictwa, z rzetelnie opracowanym rozdziałem omawiającym poruszanie się po górach zimą, z podstawami asekuracji i ratownictwa. Wydane w końcu lat osiemdziesiątych "Vademecum turysty górskiego" stanowiło dobrą próbę dostarczenia naszemu środowisku podręcznika, który szybko zniknął z księgarń, bo był po prostu potrzebny. Najbliższy czas nie przyniesie poprawy sytuacji, czego dowiodły wydarzenia mające miejsce jesienią 1990 r. Wrześniowe i październikowe opady śniegu przyniosły serię nieszczęśliwych wypadków na skutek poślizgnięć, a w grudniu zginął w lawinie pod Świstówką turysta amerykański. Nie jest to dobra prognoza na sezon zimowy '90/91. Miejmy jednak nadzieję, że w końcu zwycięży rozsądek, a relacje z gór przestaną przypominać rejestr zgonów.

Juliusz Wyslouch

## BYŁO TO PRZED STU LATY



Józef Schneider pierwszy zdobywca Howerli.

Przyzwyczajiliśmy się od lat uważać za kolebkę polskiego narciarstwa Podhale i Tatry, a jednak u schyłku XIX w. w dalekiej Czarnohorze...

W uroczej miejscowości w dolinie Prutu w Karpatach Wschodnich - Tatarowie działał leśniczy pan Józef Schnaider, zamilowany turysta i narciarz. To właśnie pan Józef napisał i wydał w 1898 r. podręcznik, jako jeden z pierwszych tego rodzaju wydawnictw w Europie pod tytułem: "Na nartach skandynawskich - podręcznik dla zwolenników tego sportu". Była to druga w świecie książka poświęcona narciarstwu. Dziś jest to "biały kruk", dostępny jedynie w zasobnych bibliotekach lub księgozbiorach starych bibliofilów.

Sędziwego już pana Schnaidera poznałem osobiście w latach trzydziestych naszego stulecia, z jego bowiem synem Leszkiem uczęszczałem we Lwowie do gimnazjum. Swoje ostatnie lata spędził pan Józef w uroczej willi położonej we wschodniopółnocnym zakątku Roztocza w miejscowości Brzuchowice koło Lwowa. W jego gabinecie, urządzonym po myśliwsku, spędziliśmy długie wieczory słuchając barwnych opowieści o prawie dzikich wówczas górach Karpat Wschodnich, o polowaniach. A umiał pan Józef gawędzić o historii różnych trofeów myśliwskich zdobiących ściany jego gabinetu - ogromnych wieńców rogów jeleni, potężnych szablach dzików, wypchanych okazów różnego ptactwa, a także kilka oszklonych gablot ze wspaniałą kolekcją motyli z całego świata. Jedną z takich gawęd poświęcił pan Schnaider historii pierwszej w dziejach turystyki narciarskiej w Polsce wyprawy na najwyższy szczyt Czarnohory - Howerlę (2058 m npm). Było to jedno z najważniejszych osiągnięć narciarskich w Europie Środkowej. W dniu 16.03.1897 r. śnieg Howerli został po raz pierwszy przecięty śladami polskich narciarzy. Wyczyn ten zbiegł się w dacie z podobną pierwszą narciarską wyprawą w dziejach narciarskiego alpinizmu, podjętą przez pioniera tego sportu W. Paulckego. Wyprawa na Howerlę dokonana przez Józefa Schnaidera z towarzyszami, przygotowana była przez zespół pierwszej narciarskiej organizacji w Karpatach Wschodnich. Była to tak zwana "Kolonja narciarska w Tatarowie", rozwijająca ożywioną działalność w latach 1895-1898. Pierwszy zespół polskich narciarzy składał się z personelu zarządu leśnego. Konieczność bowiem poruszania się zimą po lasach górskich wywołała wśród leśników zainteresowanie sprzętem narciarskim. Obok Józefa Schnaidera, leśniczego, zapisał się w dziejach narciarskiej kolonii tatarowskiej Marcin Małaszyński i kilka innych osób z personelu służby leśnej. W zespole tym była również kobieta, pierwsza polska narciarka Kazimiera Małaszyńska, która brała również udział w wyprawie zimowej na Howerlę. Pod kierunkiem Józefa Schnaidera odbywały się kilka razy w tygodniu kursy i treningi narciarskie na terenie Gorców i Czarnohory. Próbowano też w tym czasie na górskich stokach skoków na nartach. Myślano również o wykorzystaniu nart w czasie polowania. Świadczy o tym udział członków kolonii tatarowskiej w polowaniu na zajęce, urządzonym w 1869r. w Jabłonicy nad Prutem.

Tak w telegraficznym skrócie przedstawiają się początki zorganizowanej turystyki narciarskiej w Karpatach Wschodnich.

Czesław Cetwiński



## NA SZLAKU Z KOMISJĄ TURYSTYKI GÓRSKIEJ ZG PTTK

### Stanowisko Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK w sprawie bazy noclegowej w górach zatwierdzone uchwałą KTG nr 3(XII)90 z dnia 1.12.1990r.

1. Obiekty turystyczne PTTK w górach stanowią bazę działalności programowej Towarzystwa i są niezbędnym elementem funkcjonowania turystyki górskiej.
2. Schroniska górskie będące stosunkowo tanią bazą noclegową, są elementem podstawowej działalności statutowej PTTK w sferze programowej.
3. Schroniska i inne obiekty górskie stanowią blisko 120-letni dorobek PTT i PTTK i jako taki traktowane muszą być jako własność społeczna ogółu członków PTTK.
4. Funkcjonowanie tych obiektów (podobnie jak znakowanie szlaków pod szyldem PTTK) jest wyróżnikiem Towarzystwa i rękojmią jego dalszej społecznej przydatności.
5. KTG w oparciu o stanowisko licznego środowiska turystów górskich kategorycznie protestuje i sprzeciwia się wszelkim próbom przekształcenia istniejącej bazy noclegowej PTTK w formy, które mogą doprowadzić do utraty obiektów lub kontroli nad ich funkcjonowaniem.
6. Za niedopuszczalne uważamy próby prywatyzowania obiektów stanowiących przecież społeczną własność i dorobek całego Towarzystwa, szczególnie poprzez przekazywanie ich fundacjom, spółkom z udziałem kapitału zagranicznego itp. instytucjom i grupom kapitałowym, które z założenia nie gwarantują pozostania bazy w obrębie Towarzystwa.
7. Uważamy, iż konieczne są daleko idące przekształcenia funkcjonowania i zarządzania bazą noclegową PTTK, zwłaszcza w kierunku odbiurokratyzowania i odetatyzowania, ale wyłącznie w obrębie Towarzystwa, z pozostawieniem całkowitej odpowiedzialności za nią w rękach członków PTTK poprzez odpowiednie organy społeczne.
8. Nie wyklucza to np. prowadzenia obiektów przez zarząd własny Oddziałów czy Klubów (w systemie dzierżawnym lub innym), ale pod warunkiem, iż w żadnym wypadku nie będą one posiadały prawa i możliwości samodzielnego zbycia obiektów lub wnoszenia ich jako aport do spółek.
9. Działalność fundacji i spółek może być dopuszczona tylko wówczas, gdy ich celem będzie wspieranie funkcjonowania schronisk, bez dążenia do ich pozyskania lub przejęcia.
10. KTG od roku ponawia pod adresem Prezesa Towarzystwa, Prezydium i Zarządu Głównego wystąpienie w sprawie reorganizacji zarządzania górską bazą noclegową PTTK, jednak bezskutecznie. Nie otrzymaliśmy nawet żadnej odpowiedzi na nasze wnioski. W tej sytuacji domagamy się od władz Towarzystwa podjęcia wreszcie działań dla zachowania naszego dorobku, tym bardziej, że coraz częściej pojawiają się próby pozbawienia nas i naszych członków - turystów schronisk górskich. Próby te czynione są pod różnymi pretekstami i w

różny sposób, ale zawsze wbrew interesowi uprawiających turystykę górską.

11. KTG stoi na stanowisku, że sprawa bazy noclegowej PTTK w górach winna być w sposób wyraźny wyłączona z procesów komercjalizacji i prywatyzacji, a tym samym z zakresu działania uchwały ZG, która ma być podjęta w tej sprawie na zebraniu plenarnym ZG w dniu 8.12.br. Uważamy za konieczne rozważenie w pilnym trybie przez Prezydium ZG problemów bazy noclegowej i działalności gospodarczej PTTK na terenach górskich w oparciu o przedstawione przez KTG pismem Przewodniczącego komisji z dnia 11.11.br. wnioski. Do tego czasu należy wstrzymać wszelkie decyzje dotyczące przekształceń własnościowych bazy noclegowej PTTK w górach.
12. Ponieważ nasze propozycje i apele pozostają w PTTK bez echa, KTG postanawia zwrócić się do szerokiego rzesz członków Towarzystwa - turystów górskich, ze swoim "Stanowiskiem", aby poinformować ich o zagrożeniach, które stawiają pod znakiem zapytania istnienie naszej bazy noclegowej, a także, aby wywołać odpowiedni rezonans społeczny wokół sprawy. Uważamy też, że powinny zostać podane do publicznej wiadomości wszelkie poczynania dotychczasowych gestorów bazy noclegowej zmierzające do przejęcia lub wyprowadzenia schronisk z PTTK.

Kraków, 01 grudnia 1990r.

## SPRAWY BIEŻĄCE

### Kartoteka szlaków karpacckich gotowa.

29 miesięcy trwały prace kolegi Anrczeja Matuszczyka nad sporządzeniem kartoteki szlaków górskich. Ujęto w niej szlaki położone na obszarze działalności 26 oddziałów pracujących na terenie naszych Karpat. Łączna długość opracowanych szlaków wynosi 5703 km, scharakteryzowano 1099 stanowisk drogowskazów, wykonano 586 kartotek szlaków, 638 kartotek drogowskazów oraz 92 mapy w skali 1:50000. Opracowane materiały są niezwykle przydatne dla działalności znakarskiej oraz dla prowadzenia gospodarki szlakami. Aktualnie prowadzone są podobne prace nad szlakami sudeckimi przez Kol. Zbigniewa Garbaczewskiego.

### Nowy obiekt noclegowy PTTK w górach.

Dnia 16 października 1990 r. odbyło się otwarcie Domu Wycieczkowego "Pod Roztołą" w Ryttrze, w Beskidzie Sądeckim. Posiada on 47 miejsc noclegowych, prowadzi również bufet. Adres: Rytro, Dom Wycieczkowy "Pod Roztołą", Jan Kulig.

### Przewodniczących Terenowych Referatów

Weryfikacyjnych GOT - komisja Turystyki Górskiej prosi o przesłanie informacji na temat składu Referatów na nową Kadencję oraz ewentualnych nowych adresów. Prosimy również o sygnalizowanie trudności, zwłaszcza lokalowych, pojawiających się w związku ze zmianami organizacyjnymi w PTTK, a także o nadsyłanie sprawozdań z działalności w 1990 r.

### Uwaga subskrybenci "Wierchów"

Ukazał się długo oczekiwany 55 numer "Wierchów" za rok 1986. W 1991 r. przewidujemy wydanie 2 następnych tomów. Ze względu na niestabilność cen i brak możliwości dalszego dotowania zmuszeni jesteśmy zrezygnować z prowadzenia subskrypcji. Dotychczasowych lub potencjalnych subskrybentów prosimy o pisemną deklarację odnośnie wykupu za zaliczeniem pocztowym następnych tomów, co jest niezbędne dla ustalenia wysokości nakładu. Przewidujemy utrzymanie ceny tych tomów na poziomie 30 tys zł.

### OFERTA SPRZEDAŻY KSIĘGARNI "POD WIERCHAMI":

**WIERCHY** - rocznik poświęcony górą Polski i świata. Ukazuje się od 1923 r., o bardzo szerokim profilu tematycznym. Aktualnie są do nabycia: tom 53 (rok 1984) w cenie 5000 zł, tom 54 (rok 1985) w cenie 5000 zł, tom 55 (rok 1986 - ostatnio wydany) w cenie 31000 zł. W sprzedaży hurtowej tom 55 jest do nabycia: 28 egzemplarzy po 29000 zł/szt lub 42 egzemplarze po 26000 zł/szt. Marek Okoń, **Beskid wschodnie w pytaniach i odpowiedziach** - zestaw pytań i odpowiedzi zawierający całokształt wiedzy o Beskidach Wschodnich, pozostających w granicach Polski. Cena 2000 zł.

**XIX wieczne grafiki Walerego Eliasza oraz Zygmunta Stęczyńskiego** - pięć różnych grafik na wspaniałym papierze, format zbliżony do A5. Cena 1500 i 2000 zł.

Józef Oppenheim, **Szlaki narciarskie Tatr polskich** - Kraków 1936, reprint. Cena 9000 zł. Powyżej 50 egzemplarzy - 6000 zł/szt.

**Z krajinę Gorców** - (w druku, odbiór w lutym 1990 r. Materiały z sympozjum górskiego w 1987 r. poświęconego jednej z ciekawszych i bardziej oryginalnych grup górskich w polskich Beskidach, Gorce, aczkolwiek bardzo popularne wśród turystów, do tej pory nie doczekały się monograficznego opracowania. Prezentowany tom może pretendować do miana takiej monografii, zawiera bowiem prace historyczne, etnograficzne, turystyczne, przyrodnicze i inne, dające w sumie pełny opis Gorców. Cena około 15000 zł, cena hurtowa (50 egzemplarzy) około 12000 zł.

**Krótki Przewodnik po Huculszczyźnie. Od Hnitesy po Rogodze.** (w druku - odbiór marzec 1991 r.) Praca zbiorowa, Warszawa 1933. Zmiany polityczne w Związku Radzieckim i praktycznie otwarcie jego granic wywołały ogromne zainteresowanie turystów dawnymi polskimi kresami wschodnimi, m.in. Huculszczyzną oraz ożywiony ruch turystyczny na tamte tereny. Do czasu opracowania i wydania całkiem nowych przewodników niniejszy reprint będzie doskonałą pomocą dla turystów udających się pod Czarnohorę. Cena około 10000 zł, cena hurtowa (powyżej 50 egzemplarzy) około 8000 zł.

Zamówienia należy kierować pod adres: Księgarnia COTG PTTK "Pod Wierchami" 31-004 Kraków, Plac Wszystkich Świętych 8.

# Nowa rzeczywistość w kraju czy nowa rzeczywistość w górach?

Cele uprawiania turystyki górskiej nie zmieniły się od lat kilkudziesięciu, uległy natomiast całkowitej zmianie warunki zewnętrzne oraz model uprawiania górskich wędrówek. Turystyka górską przeżyła już okres żywiolowo-ilościowy (masowe wyjazdy w góry organizowane przez zakłady pracy, a następnie wielkie, kilkutygodniowe imprezy turystyczne). Niepomiernie podniósł się wśród społeczeństwa poziom wiedzy o górach, na co dodatkowo wpłynęła rozmaitość specjalistycznej literatury. Obecna rzeczywistość wydaje się sprzyjać powrotowi do najlepszych wzorców indywidualnej turystyki kwalifikowanej lub wędrówek uprawianych w małych grupach. Ze względu na wprowadzenie gospodarki rynkowej, a co za tym idzie, znaczną wyższą wszystkich kosztów i cen, brakuje już pieniędzy na duże imprezy, na grupowe wyjazdy do obiektów sponsorowane przez zakłady pracy lub organizacje społeczne, właśnie z powodu wysokich cen. Coraz mniejszym zainteresowaniem cieszą się wczasy wędrownicze. Fakt ten powodować zaczyna naturalny odświeżenie wśród górskiej klienteli w kierunku wyeliminowania tej części ruchu, która raczej negatywnie wpływała na to, co dotąd działo się w schroniskach i na szlakach. Turysta indywidualny, rozmiłowany w danym rejonie gór, może znowu liczyć na nocleg w schronisku i zależnie od zasobów własnego portfela przebywać w górach dłużej lub krócej, udaje się w partię gór bardziej lub mniej odległą od miejsca swego zamieszkania.

Towarzystwo powinno dziś wpływać na model uprawiania turystyki górskiej poprzez nowy sposób prowadzenia bazy schroniskowej, dbałość o stan oznakowania szlaków i przekształcania ich sieci według aktualnych wymogów, a także dalsze doskonalenie oferty wydawniczej w górskiej literaturze. Hasłem integrującym w turystyce górskiej powinno stać się w PTTK rzeczywiste jej popieranie poprzez:

- stałe podnoszenie kultury obsługi turystów w schroniskach,
- w miarę możliwości obniżanie standardu noclegów oraz ich kosztów,
- zmianę funkcji gastronomii obiektów w górach na proste, a więc znacznie tańsze posiłki,
- związanie szczególnie oddanych określonym obiektom turystów z nimi. Chodzi o tworzenie "rodzinnej" atmosfery, przekonywanie aktywu o konieczności pracy społecznej dla schronisk i dla dobra samych turystów.

Wyżej podane wnioski będą mogły być zrealizowane w praktyce wyłącznie wówczas, gdy baza górską zostanie sprywatyzowana. Nie da się bowiem pogodzić dalszego istnienia OZGT-ów, a równoległe lepsze powiązania schronisk ze sferą statutową. To ogień i woda. Dopóki będą OZGT-y, dopóki schroniska będą wyglądały jak sklepy PSS "Spolem", natomiast po ich sprywatyzowaniu te przysłowiowe PSS-y szybko upodobnią się do placówek prywatnych, a różnicę każdy z nas może dziś obserwować już w naszym kraju w każdym dosłownie miejscu. Nie brak w Polsce ludzi z inicjatywą, gotówką, doświadczeniem, a równocześnie oddanych prawidłowo działającej bazie górskiej. Jeżeli zatem zerwie się z praktyką branżową (z "sufitu" odpłatności, a przyszłych gospodarzy (nie kierowników schronisk, lecz ich z prawdziwego zdarzenia gospodarzy) zwiąże się z danym obiektem autentycznie dla nich korzystnymi wieloletnimi umowami dzierżawnymi, każdy poczuje się faktycznym gospodarzem majątku, którym zarządza. Centralistyczne ogulanie, potworna biurokracja, uniemożliwienie kierownikom schronisk decydowania o cokolwiek, to wieloletnia praktyka OZGT-ów prowadząca schroniska górskie do zupełnej stagnacji. Prywatyzacja schronisk otworzy również zielone światło dla sfery statutowej - dla autentycznej pracy społecznej aktywu dla dobra górskiej bazy.

Przyszli dzierżawcy powinni złożyć poręczenia, gdyż jedynie to zabezpieczy trwałą substancję

majątkową, jaką PTTK obecnie zarządza w górach. Nie zdają, moim zdaniem, egzaminu wszelkie próby prowadzenia górskiej bazy przez Oddziały PTTK. Nie mam więc złudzeń, że coś się tu zmieni - zwłaszcza obecnie. Schronisko musi być prowadzone przez dzierżawcę na jego własne ryzyko, a równocześnie przy wypełnianiu podstawowych kryteriów programowych, jakie mu wyznacza PTTK-owski regulamin. Ewentualne (choć wątpliwe w przyszłości) środki kierowane na remonty schronisk przez PTTK powinny być korygowane treścią umów dzierżawczych w taki sposób, aby odpłatność kierownika podwyższać, gdy środki na remont otrzymał z Towarzystwa, a obniżyć - kiedy konkretne zadania wykonał sam i na własny koszt. Taki układ będzie pobudzał gospodarność kierowników schronisk, skłaniać ich ku koleżeńskim kontaktom z turystami, organizowaniu akcji społecznych na rzecz schronisk itd. Fakt ten wypelni z kolei treścią propagowanie nowych i prawidłowych postaw aktywu wobec własnej (właśnie tak po nowemu rozumianej - własnej) bazy.

W nowej sytuacji nie powinno być w ogóle schronisk nierentowych. Pragnę przy tym zwrócić uwagę na nieco inny aspekt sprawy. Schroniska górskie nie są dla PTTK zamkniętą bazą. Obecnie, gdy stale jeszcze funkcjonuje dawny stereotyp chronicznego braku miejsca w obiekcie górskim, udział członków PTTK korzystających z tej bazy nie przekracza kilkunastu procent. Udział ten w przyszłości wzrośnie, ale nawet wówczas na pewno większość turystów korzystających ze schronisk nie będzie członkami PTTK, a więc nie będzie związana bezpośrednio z Towarzystwem. To właśnie powinno wymuszać opiekę finansową nad obiektami (środki na remonty) od miejscowych władz, stosownie do administracyjnego układu terenu. Widzimy, co stało się obecnie z ośrodkami wypoczynkowymi zakładów pracy, na które zakłady te nie chcąłożyć. A schroniska są przecież w znacznym stopniu obiektami socjalnymi, choć wiele specyficznych, gdyż służącymi kwalifikowanej turystyce.

Miejscowe oddziały PTTK także powinny wspomagać bazę na swoim terenie od strony nie tylko merytorycznej, lecz i finansowej. Przy obecnej ich kondycji ekonomicznej wydaje się to jednak obecnie zupełną fikcją. Może należałoby oczekiwać pomocy od nowo działających spółek (fundacji) lub innych, działających na nowych zasadach, przedsiębiorstw, które będą widziały dla siebie konkretną korzyść, np. z przyjazdu w nasze góry turystów zagranicznych (producentów sprzętu, oficyny wydawniczej publikujące w językach zachodnich). Obecne zrównanie cen za noclegi dla turystów krajowych i zagranicznych stanowi już obecnie dodatkową zachętę w tym kierunku.

Fundamentalnie ważną sprawą jest sama metoda likwidacji OZGT-ów. Trzeba tu mieć świadomość, że zarządzają one w dniu dzisiejszym ogromnym majątkiem trwałym (ponad 100 obiektów - wliczając w to wszystkie, wraz z górskimi), więc cały proces likwidacji ich struktur musi mieć charakter dwustopniowy. W pierwszym etapie należy OZGT-y podporządkować Centralnemu Ośrodkowi Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie, którego zadaniem stanie się dopiero przygotowanie wieloetapowego procesu likwidacji. Po wnioskowych przygotowaniach myśleć można dopiero o nowych umowach dzierżawczych i stopniowym wprowadzaniu prywatyzacji obiektów. Samo zlikwidowanie OZGT-ów i pozostawienie schronisk i reszty całej bazy bez gestora groziłoby Towarzystwu nieobliczalną katastrofą, czyli utratą większości obecnego majątku trwałego. W obecnych zaś czasach to grunt i majątek trwały są podstawą, a nie środki finansowe.

Dobrze przeprowadzona prywatyzacja sprawi, iż każdy dzierżawca (dawniej kierownik) we własnym najlepiej pojętym interesie walczyć będzie o maksymalne obniżanie kosztów. Kiedy prywatyzacja schronisk okrzepnie w nowych for-

mach organizacyjnych, a turyści (w tym i zagraniczni nas odwiedzający) uznają wreszcie sytuację w naszych górach za normalną, znajdą się z pewnością chętni i odpowiednio bogaci sponsorzy do rozwoju sieci schronisk. Wtedy przy ich realizacji Towarzystwo musi oferować sprawdzone i uzgodnione lokalizacje z zatwierdzonego w 1982 r. przez Prezydium ZG PTTK kompleksowego w tej materii programu.

Sieć szlaków turystycznych w polskich górach jest obecnie zbyt rozległa. Ciągłe przy tym trwa jeszcze rozwój układów komunikacyjnych, w wyniku którego szereg odcinków szlaków znajduje się na asfaltowych drogach. Drugim aspektem sprawy są regiony w naszych górach nadmiernie przeładowane szlakami. Twierdzę, iż gdyby wysiłkiem społecznego aktywu dokonać statystycznych badań i wyliczyć frekwencję na szlakach, np. w Beskidzie Śląskim, z łatwością można byłoby udowodnić, że po wielu ich odcinkach w ogóle nikt nie chodzi. Także zdecydowanie mniej uczęszczane są szlaki w tych grupach gór, gdzie brakuje bazy schroniskowej. Wszystko to (zwłaszcza wobec likwidacji CFTiW - dostarczającego dotąd dotacji na konserwację szlaków turystycznych), powinno skłaniać nas do wniosku, że niezbędne jest ograniczenie sieci szlaków w górach. Oprócz niezbędnego obniżenia ogromnych obecnie kosztów miałyby to i aspekt merytoryczny - przywracanie prawdziwym turystom kwalifikowanym szeregu terenów do wędrówek bez szlaku, z mapą i kompasem, a więc kształtowaniu autentycznej turystyki kwalifikowanej.

Wyłączenie PTTK na terenach chronionych jest, moim zdaniem, trudna do realizacji. Jaskrawym tego przykładem było podpisanie przez PTTK porozumienia z Tatrzańskim Parkiem Narodowym (1973 r.), dotyczącego odpowiedzialności Towarzystwa nie tylko za konserwację szlaków, ale równocześnie za budowę i naprawę nawierzchni tych szlaków, mostków, kładek i licznych urządzeń towarzyszących. Jak należało oczekiwać (pomijając sprawę kosztów tych prac oraz ich ogromny zasięg skomplikowany innymi jeszcze dodatkowymi uwarunkowaniami), nastąpiła zbyt wolna realizacja porozumienia. To z kolei ustawiło PTTK w roli przysłowiowego "chłopca do bicia" za niewykorzystanie tego czy innego zamierzenia na tatrzańskich szlakach. Tymczasem naprawdę ogarnięcie całego problemu szlaków w Tatrach na bieżąco było w przeszłości i jest obecnie sprawą dla sił, jakimi Towarzystwo rozporządza - w ogóle niewykonalną. Podpisanie nieszczęsnego porozumienia z Parkiem Tatrzańskim wywołało poza tym szkodliwy precedens i zazdrosne komentarze innych parków narodowych, na terenie których PTTK szlaki znakuje, lecz ścieżek i umocnień nie naprawia.

Wciąż aktualny pozostaje problem "dzikich" szlaków w górach. Niestety, wciąż powstają nowe, a bezkarności tu panująca obciąża jednoznacznie gospodarzy terenu, tj. miejscowe oddziały PTTK. Przy ogólnej tendencji do dosyć dużych i stałych zmian "oficjalnej" sieci szlaków turystycznych w górach, dodatkowe szlaki "dzikie" potęgują chaos w terenie i na łamach literatury fachowej (przewodniki, mapy). Znakowanie szlaków objęte jest przecież dość dobrze sformułowanymi aktami prawnymi, co dotyczy zarówno ich znakowania, zmiany przebiegu, jak zwłaszcza szlaków "dzikich", pozostaje więc tylko rzetelna realizacja obowiązujących ustaleń.

Ogromna kadra górską (przede wszystkim przodownicy) musi zmienić obecnie swoje złe przyzwyczajenia, a głównie merkantylny stosunek do gór. Jeżeli było to możliwe w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w okresie najgorszym tworzenia "socialistycznej rzeczywistości i dobrobytu", a potem szybko zostało zapomniane, jest właściwa pora, by do tego wrócić. Aby normalne stały się akcje typu Hali Krupowej, gdzie turyści pomagali budować schronisko, aby przodownicy znów zechcieli coś społecznie robić (prowadzenie wczasów, aktywna praca społeczna w oddziałach PTTK, w których są zrzeszeni, a nie tylko korzystać z wysokich zniżek organizacyjnych Towarzystwa. Sądzę zresztą, że stopniowo zmieniała w swoim charakterze baza górską i przekształcana ku normalności sieć szlaków turystycznych w górach będzie temu procesowi sprzyjała.

Andrzej Matuszczyk

# Schronisko górskie - przystań dla turystów czy wczasowisko?

## Turysta gościem czy intruzem?

Mamy w naszych górach kilkadziesiąt schronisk turystycznych. Z założenia powinny to być obiekty, w których turysta może liczyć na schronienie w najgorszym przypadku, zaś w najlepszym na pewien zakres podstawowych usług. Ze nie wszędzie tak się dzieje, wiemy o tym wszyscy. Prawie każdy wędrujący po górach spotkał się kiedyś z odmową posiłku albo noclegu. Są oczywiście schroniska, w których to się nie zdarza, bywa jednak i tak, że turyści nie są mile widziani w schroniskach, że traktowani są jak intruzy. Często nie ma dla nas miejsca, bo akurat trwa w schronisku kurs językowy albo kurs tańca, wczasy czy podobne "imprezy". Niektórzy kierownicy schronisk nie przejmują się turystami, tym, że często są zmęczeni, spragnieni ludzie liczą na to, że będą mogli się wyspać i coś zjeść. Wynajmuje się, na przykład, całe schronisko organizatorom wczasów lub kursów, a dla turystów ustawia się obok namioty. Tak było ubiegłego lata na Równicy, a kierownik schroniska tłumaczył swoje postępowanie koniecznością wypracowania zysku finansowego. To chyba nieporozumienie. Ktoś wymyślił, że schroniska górskie mają przynosić dochód. Dlatego lepiej jest wynająć schronisko zawczasu, przed sezonem, organizatorom zbiorowego wypoczynku (?) niż liczyć na turystów, co to przyjdą albo nie.

Czas skończyć z wymuszaniem efektu finansowego działalności schronisk. W krajach gospodarki rynkowej schroniska są dotowane przez państwo lub przez towarzystwa turystyczne będące

właścicielami schronisk, a środki na to pochodzą z innej działalności gospodarczej. Organizacje te zajmują się dochodowym hotelarstwem w dolinach, prowadzą sklepy ze sprzętem sportowym i turystycznym, organizują wycieczki autokarowe. Nic nie stoi na przeszkodzie, by i u nas było podobnie.

Druga podstawowa sprawa, to brak wyobraźni kierowników schronisk, ich niewielkie pojęcie o turystyce i górach. Kierownicy (ojenci) schronisk nie czują się związani z turystyką, schronisko to tylko "zakład pracy". Takie wrażenie odnosi się zbyt często. Czym bowiem wytłumaczyć odmowę noclegu w Murowanem zim, wieczorem, samotnemu turyście? Czy naprawdę w tak dużym budynku nie można znaleźć miejsca dla jeszcze jednej osoby? Turysta ten powędrował po ciemku do Kuźnicy i jakoś sobie poradził. Ciekawe, czy gdyby ten turysta posłignął się i spadł do Doliny Jaworzynki, to czy człowiek, który go wyprosił ze schroniska, poniósłby odpowiedzialność? Czym wytłumaczyć, opisywane w "Gościńcu", odmówienie noclegu turystom i pobicie tychże? Czym wytłumaczyć "oszczędnościowe" pozbawianie oświet-

lenia elektrycznego pokoi w bawocce na Jaworcu? Czym wytłumaczyć słynną wywieszkę na Turbaczu informującą, że chodzenie w butach po schronisku będzie karane "mandatem" 100-tysięcznym? Czy te wszystkie przypadki, to tylko niewiedza, dyletantyzm, czy może brak wyobraźni lub zła wola?

Są jednak schroniska, w których turysta może czuć się dobrze. Tak jest na Markowych Szczawinach, na Prechybie, na Maciejowej, a także pod Małą Rawką czy w Wetlinie. Miło jest też na Ornaku, na Rysiance i na Lipowskiej, w Samotni i na Rycerzowej. Wszędzie tam, gdzie jest dobrze i tam, gdzie jest źle, schroniskami kierują tylko ludzie. Widocznie jedni nadają się do tej działalności, a inni nie. Większość przykrych sytuacji, na które jesteśmy narażeni, wynika z narzuconej schroniskom atmosfery tzw. "obiektów hotelarskich". Kiedy przywróci się schroniskom ich właściwą rolę, to i ludzie nimi kierujący mogą się zmienić, a wtedy schroniska znowu będą schroniskami, zaś turyści mile widzianymi gośćmi.

Juliusz Wysłouch

## Sprzedać (!) schroniska

Przeczytałam z uwagą wypowiedzi dwóch prominentnych działaczy Towarzystwa, zamieszczonych w nr 2/20 i 3-4/21-22 "Na Szlaku", a dotyczących schronisk górskich i turystyki z nimi związanych. Uznając, że są to artykuły polemiczne, ośmieliłem się - zwykły petetkowiec - także zabrać głos w tej sprawie. Słusznie zauważył Kol. Staffa, że od początku istnienia PTTK Zarząd Główny nie mógł rozwiązać problemu, jak gospodarować schroniskami i w rezultacie przyjął najgorszą z możliwości, a mianowicie - administrowanie. Powoływanie różnych sztyldem, a takich samych merytorycznie organów administracyjnych, tylko pogłębiało indolencję i bałagan schroniskowy. Brak w Zarządzie Głównym jakiegokolwiek koncepcji, rozwiązującej we właściwy sposób ten problem, spowodował prawie całkowitą dewastację i dekapitalizację obiektów. Również wybrany na ostatnim Zjeździe Towarzystwa Zarząd Główny, a szczególnie jego Prezydium, nie gwarantuje poprawy sytuacji.

Promowanie, jak to określił jeden z kolegów "sierniężnej" turystyki z prymitywnymi noclegami i kolektywnym sporządzaniem posiłków, to odrębne zagadnienie. Oczywiście trzeba nosić ze sobą osmolony kociołek. Taka turystyka, moim zdaniem, mija się z celem, ponieważ nie zjemy na tak wysokim poziomie cywilizacyjnym, aby tęsknić do prymitywu i żeby marzyła się kurna chata. Jest to powrót do genialnej koncepcji "Wielkiego Harcerza", jaki kilkanaście lat temu objawił się w PTTK. Ale śpiewać w krótkich majtkach przy ognisku, a umieć sprawnie działać, to dwie różne rzeczy.

Właśnie utrzymywanie w schroniskach prymitywnych, wspólnych umywalki i sanitariatów doprowadziło do zniszczenia tych urządzeń, gdyż nigdy nie było winnych dewastacji. Do tego dołożył się brak zainteresowania agentów stanem technicznym schronisk i zaniedbanie doraźnych napraw. Co z tego wynika, każdy widzi. Niestety, niski standard nie nauczy dość prymitywnego naszego społeczeństwa korzystania z podstawowych urządzeń. Co prawda, każdy rozprawia o komputeryzacji, motoryzacji, kosmosie i innych nowinkach, ale wody w ubikacji nie potrafi spuścić.

Moim zdaniem, w schroniskach powinny być maksymalnie czteruosobowe pokoje z prysznicem i wc. Jeżeli urządzenia te zostaną uszkodzone, wiadomo będzie, kto te szkody spowodował i można otrzymać odszkodowanie. Wiąże się to z każdorazowym sprawdzaniem stanu pomieszczeń przy wychodzeniu z nich turystów. Wbrew pozorom nie podroży to zasadniczo noclegów, a wręcz przeciwnie, gdyż stanowiąc zmniejszą się dewastacja i niszczenie schronisk. Zdaję sobie sprawę, że istniejący schronisk nie da się w krótkim czasie przerobić i w związku z tym należy znaleźć optymalny sposób ich eksploatacji. Obecnie najbardziej racjonalne jest przekazanie obiektów górskich w wieloletnie dzierżawy. Oczywiście umowa dzierżawna powinna gwarantować członkom Towarzystwa ich przywileje oraz utrzymanie obiektu w należytym stanie. Działalność obiektów górskich będących w dzierżawie powinna nadzorować Komisja Turystyki Górskiej, poprzez Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej. Najwyższy czas zlikwidować OZGT-y które są same dla siebie i przynoszą tylko straty. Jak na razie, jedyną troską OZGT-ów jest pozbywanie się schronisk lub ich uwłaszczenie poprzez różne fundacje, spółki i inne kombinacje. Z wypowiedzi dyrektorów OZGT-ów, przekazanych w październiku 1990 r. przez radio, jednym wyjściem jest sprzedaż schronisk. Oczywiście pieniądze uzyskane ze sprzedaży poszłyby na wypłaty wysokich poborów tymże dyrektorom. Zarząd Główny, zamiast zdecydowanie przeciwstawić się tym działaniom, przygląda się im biernie, a nawet wymyślił prywatyzację Towarzystwa. Jest to curiozum nie spotykane nigdzie. Gdyby taka propozycja zdarzyła się w PTT, pierwszym pytaniem na pewno byłoby: czy autor propozycji dawno opuścił Tworki? Drugim takim działaniem jest usiłowanie zaangażowania obcego kapitału. Największą jest myśl, że obcy kapitalista swoje pieniądze wyłoży jedynie z miłości do bohaterskich Polaków, a szczególnie do dyrektorów OZGT-ów. Za obcy kapitał trzeba będzie zapłacić niezależnością Towarzystwa.

Zresztą Zarząd Główny zawsze stosował się do ogólnego programu. Już było całkowite uzależnienie PTTK od MSW, poprzez nadanie Towarzystwu statusu stowarzyszenia wyższej użyteczności. Obecnie ogólnie zalecana jest wyprzedaż majątku narodowego obcym kapitalistom. Oczywiście Zarząd Główny będąc bardzo lojalnym wobec każdej władzy, również podchwycił ideę

wyprzedaży majątku Towarzystwa. Aby nie być gołosłownym, OZGT z Jeleniej Góry chce sprzedać schronisko "Czartak", a łąkę koło "Szwajcarki" sprzedać je Holendrom. Ciekawe, kto na tym zarobi? Nie wyjaśniona pozostaje sprawa schroniska "Na Sreńcu". Tak trzymać! Jeżeli nie umie się gospodarzyć, to pozbyć się gospodarstwa. Ciekawe, z czego będzie utrzymywać się OZGT, jeżeli pozbędzie się schronisk. Chyba tylko ze sprzedaży piwa. Najlepiej jednak byłoby zamiast pozbywania się schronisk pozbyć się raz na zawsze wszelkich OZGT-ów. I tu nasuwa się pytanie: czy Zarząd Główny stać na jakies energiczne i racjonalne poczynania? Odpowiedź nasuwa się sama. Z dotychczasowych pseudodziałania wynika, że nie.

Chociażby sprawa Zarządów Wojewódzkich. Rozwiązano je i co dalej? Puszczono wszystko na żywioł zgodnie ze staropolskim "jakoś to będzie". Chyba przed podjęciem tak ważnej decyzji należało zastanowić się, jak będzie działało Towarzystwo w terenie. I tu nikomu z Zarządu Głównego nie starczyło wyobraźni. W miejsce Zarządów Wojewódzkich mają powstać regionalne ośrodki programowe na bazie pracowni krajoznawczych. Zamiast postanowić, gdzie takie ośrodki mają powstać, pozostawiono to bez żadnej decyzji. Takie rozwiązanie spowodowało silne zabiegi byłych urzędujących w zarządach wojewódzkich do powołania ośrodka w ich województwach. Oprócz tego znaleźli się również inni, poza województwami, którzy widzą taki ośrodek u siebie. W rezultacie zamiast 49 zarządów wojewódzkich powstanie 150 ośrodków. Powołanie ośrodka będzie zależało od układów, tupetu i elokwencji starających się. Można i tak. Grunt to chaos i dezorganizacja, gdyż zawsze z tego można coś uszczknąć.

Jeżeli Zarząd Główny nie podejmie zdecydowanych i energicznych kroków, które spowodują umocnienie działalności organizacji w terenie, to nie wróżę długiego żywota PTTK. Mamy tego przykład na przodującej sile narodu, na której przez wiele lat wzorował się Zarząd Główny. Obecna postawa Zarządu Głównego należy uznać za dążenie do rozłożenia Towarzystwa od wewnątrz, gdyż z zewnątrz zrobią to inni.

Zbigniew Garbaczewski

# Turystyka górską w parkach narodowych

Najatrakcyjniejsze tereny górskie naszego kraju objęte są ochroną, a na ich obszarze znajdują się parki krajobrazowe lub parki narodowe. W miejscach tych koncentruje się ruch turystyczny. Tereny te najczęściej łatwo dostępne, zalewane są masą wczasowiczów, wycieczkowiczów, grup kolonijnych i przyciągają licznych turystów górskich. Niestety, dyrekcje parków narodowych nie odróżniają masy wycieczkowej od turystów. Straty w przyrodzie gór, powodowane przez goszczących w górach ludzi przypisywane są turystom. Taka postawa parków wobec turystów prowadzi wprost do działań godzących w prawdziwą turystykę. Stąd właśnie bierze swój rodowód zamykanie szlaków górskich. Dodatkową przyczyną były do niedawna (a może są nadal) naciski WOP-u niechętnego turystyce górskiej na terenach przygranicznych, starającego się robić wiele, by zniechęcić nas do odwiedzania gór we własnym kraju. Dyrekcje parków przyjmowały te "sugestie" bez oporów i zamykały szlaki. Niektóre decyzje zamknięcia szlaków byłyby uzasadnione, ale głównie zamyka się szlaki nie te, co trzeba. Oto przykład z Bieszczadów. Zamknięto tam fragment szlaku głównego, biegnący piękną granią Krzemienia, a jako powód podano zagrożenie tzw. "erozją turys-

tyczną". Szlak biegnie dziś trawersem pod Kopą Bukowską. A przecież granią Krzemienia prowadzi wąska ścieżka, ledwie 30-40 centymetrowej szerokości, wcale nie rozdeptana, w zupełnie przyzwoitym stanie. Sytuacja na Krzemieniu jest nieporównanie lepsza niż np. na grzbiecie między Beskidem a Kasprzym Wierchem w Tatrach. Dyrekcje parków narodowych z uporem ograniczają dostęp do gór turystom, a nie starają się postawić tamy wobec masowego ruchu wycieczkowego. Doświadczenie mówi, że na tereny górskie objęte ochroną należy ograniczać dostęp dużym grupom wycieczkowym, a więc tym, którzy nie potrafią odpowiednio zachować się w górach.

To nie jest stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, tylko jedyny sposób przeciwko zaśmiecaniu, hałasowi i zniszczeniu terenów w pobliżu szlaków górskich. Są rejon, gdzie "turyści masowi" stanowią 90% całego ruchu turystycznego. Tak jest na Hali Gąsiennicowej, w rejonie Kasprzym, na Śnieżce czy na Czantorii. Statystyka jest bezlitośna - 90% zniszczeń w tych rejonach powoduje masowy ruch wycieczkowy. O wątpliwej jakości takiej turystyki nie ma co wspominać. I taka jest prawda, której nie chcą zrozumieć dyrekcje naszych parków narodowych.

Przy okazji parki wchodzą w kompetencje innych instytucji. Oto dyrekcja TPN ustawia zimą tablice zakazujące wchodzenia na szlaki poza głównymi dolinami motywując to zagrożeniem lawinowym. Tablice ostrzegawcze ustawia również GOPR - instytucja powołana do ochrony bezpieczeństwa turystów. Różnica polega na tym, że GOPR nie zakazuje zwiedzania gór, bo nie ma takiego prawa, tylko ostrzega przed niebezpieczeństwem. Pytanie, kto lepiej zna się na niebezpieczeństwach gór, jest chyba pytaniem retorycznym.

Równoległe z zakazywaniem turystom wychodzenia poza zalesione tereny Tatr, TPN wpuszcza co roku tysiące narciarzy w rejon Kasprzym Wierchu i przyległe kotły. Wiosną, kiedy zejda śniegi parkowcy dziwią się, że na Kasprzym leżą znowu setki puszek, papierków i innych śmieci, po czym odbywa się spektakularna akcja "czyste góry" lub "sprzątamy Tatry". Słyszymy też wtedy, że trzeba ograniczyć ruch turystyczny, bo "turyści znowu zaśmiecali Tatry". To nieprawda, to nie turyści niszczą i zaśmiecają góry, bo to właśnie turystom najbardziej zależy na tym, by góry trwały jak najdłużej w swym naturalnym, niezmiennym stanie. Już najwyższy czas, by tę prostą zależność zrozumieli instytucje statutowo zajmujące się ochroną przyrody, a szczególnie dyrekcje parków narodowych. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej będzie dla górskiej przyrody i dla prawdziwej turystyki górskiej.

Juliusz Wystouch

## Dziwna decyzja

Televizyjna informacja o polsko-czeskim spotkaniu w Karpaczu i planowanych ułatwieniach w ruchu turystycznym w Karkonoszach, oprócz zachęcających wiadomości dotyczących sposobu przekraczania granicy, zawierała też niepokojący sygnał o planach wprowadzenia ograniczeń w poruszaniu się po niektórych szlakach. Gdy wreszcie udało się dotrzeć do protokołu ustaleń, spisane w czasie tego spotkania w dniu 23.10.1990r., stwierdziłem, że rzeczywistość przerasta najgorsze obawy. Dziewiętnastoosobowe gremium, składające się z 7 przedstawicieli strony czeskosłowackiej oraz 12 naszych rodaków, pod chwytliwym hasłem udostępnienia dla ruchu turystycznego terenów polskiego i czeskiego Karkonoskiego Parku Narodowego, postanowiło skutecznie ograniczyć możliwości uprawiania indywidualnej turystyki na terenie KPN. Ustalono, że po stronie polskiej zamyka się dla indywidualnej turystyki:

- odcinek szlaku zielonego pomiędzy Łąbskim Szczytem a przełęczą pod Śmiełcem (chyba chodzi o schronisko pod Łąbskim Szczytem oraz Rozdroże pod Śmiełcem?),
- odcinek szlaku czerwonego pomiędzy schroniskiem nad Łomniczką a Równią pod Śnieżką,
- odcinek szlaku niebieskiego pomiędzy Kozim Mostkiem a schroniskiem "Samotnia",
- ścieżkę od zielonego szlaku do punktu widokowego nad Wielkim Stawem.

Po tych czterech drogach można będzie

chodzić jedynie ze zweryfikowanym (!) przewodnikiem sudeckim PTTK lub przewodnikiem Horską Służby posiadającymi licencje wydane przez Szkołę Górską Przewodników lub Horską Służbę. Po stronie czeskiej ograniczenia są jeszcze większe i dotkną 14 odcinków szlaków, w tym takie, jak Obří bouda - Obří důl, Luční bouda - Bouda u Bileho Labe, U Divčí Lavky - Labska bouda, szlaki w rejonie Kotela, Miseček i Dvoraček.

Zimą będzie jeszcze gorzej, gdyż ruch turystyczny po obu stronach granicy może odbywać się na szlakach turystycznych zimowych wyłącznie z przewodnikiem posiadającym licencję. Protokół nie precyzuje, co to jest szlak zimowy. W każdym bądź razie w naszych Karkonoszach nie ma rozróżnienia na szlaki letnie i zimowe, a zatem należy wnioskować, że zakaz obejmuje całość szlaków turystycznych na terenie KPN, jako że szlaki letnie są w pełni używane przez naszych turystów jako zimowe. Ograniczenie to nie dotyczy jednakże (dlaczego?) biegnącego Głównym Grzbieciem szlaku czerwonego. Wejście na Śnieżkę możliwe będzie tylko w grupie nie większej niż 5 osób, posiadającej przewodnika i wyposażonej w odpowiedni sprzęt. Z kolei narciarzy zapewne ucieszy wiadomość, że poruszanie się na nartach dopuszczone jest tylko na wyznaczonych szlakach (których jednak nie wskazano).

Jakby tego wszystkiego było za mało, określono w protokole, że otwarcie ruchu turystycznego na terenie obu parków może nastąpić z dniem 1.02.1991r.

Myszę że powyższe informacje nie wymagają komentarza. Nie mogę się jednak oprzeć wyrażeniu poglądu, że jest to z jednej strony kolejna próba przerzucenia na turystów odpowiedzialności za wszystko zle, co w Parku się dzieje, z drugiej zaś jest to stworzenie sobie przez przewodników administracyjnego przymusu utrzymywania ich przez turystów. A wszystko to w dodatkowej otoczce troski o bezpieczeństwo turystów. I tu odnoszę wrażenie, że niektórym uczestnikom narady Karkonosze myślą się z Alpami (bo nawet w Tatrach nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby znakowane szlaki turystyczne udostępniać tylko z przewodnikiem).

Jestem też chyba czytelnikom winien informację, kto w naradzie uczestniczył. Otóż byli dyrektorzy i członkowie dyrekcji obu Karkonoskich Parków, szefowie GOPR-u i Horską Służby, funkcyjni działacze Szkoły Górskiej Przewodników PTTK i przewodnicy z Koła Przewodników Sudeckich. Natomiast nie było przedstawicieli Urzędu Wojewódzkiego w Jeleniej Górze i Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Jeleniej Górze (brak zaproszenia).

I na koniec pytanie, co dalej? Protokół, przynajmniej tego rodzaju, nie jest obowiązującym prawem. Trzeba się jednak liczyć z tym, że w ślad za nim wydane zostaną zarządzenia dyrektora KPN, wprowadzające ustalenia protokołu w życie. Zarząd Wojewódzki PTTK w Jeleniej Górze podejmuje działania interwencyjne. Powiadomiliśmy też Zarząd Główny PTTK i KGT ZG PTTK. Myszę, że do działań tych powinni włączyć się także inni turyści.

Wojciech Sobiech

## Do Europy na kolanach

Wielkie zmiany 1989 roku, jesień narodów w Europie, spektakularne uznanie na Zachodzie, usta pełne obietnic. No i co? I nic, jak było nam daleko do Europy, tak jest daleko, a może jeszcze dalej. Wydaje się, iż coraz trudniej do niej wyjechać, bo też starają się to nam obrzydzić. Nie, nie nasze władze. To już się skończyło. Za to ci, którzy zachęcali do obalenia "komuny", zatarli ręce, że do tego wreszcie doszło i na tym się skończyło. Czesi, którzy spokojnie wyczekali sprzyjającego momentu, załapali się na odnowę i już bez wiz mogą podróżować po Zachodzie. A my? No cóż, nas nikt nie chce. Całe dnie trzeba czekać na przejściach granicznych do ZSRR, Czesi waleczą z naszymi podróżnymi jak z pluskami, b. NRD nadal utrzymuje sztywne ograniczenia, choć jej obywatele robią od 1 lipca świetne interesy w Polsce (np. dwa razy tańsza benzyna, przyjazdy bez zaproszeń), RFN po kapitulacyjnych zachowaniach się rządu na jesieni ma nas w głębokiej pogardzie. Dowód? Czyż trzeba więcej niż lekceważącego, wręcz oburzającego traktowania wniosków wizowych przez jej ambasadę w Warszawie? Wyczekiwanie ponad dwumiesięczne, opóźnienia wizowe sięgające tygodnia i to bez słowa przeprosin, nonszalancja. Trudno to nazwać obciążeniem pracą, którą to Niemcy umieją przecież zorganizować. Tak tylko może objawiać się pogarda. A skąd pogarda? Bo słabego i ustępliwego nikt w polityce nie traktuje poważnie, zwłaszcza, jeśli ktoś sam się nie szanuje. Niestety, polityka to nie braterskie miłosierdzie, które zostawić trzeba innej profesji. Od początku i nowe nasze Zgromadzenie Narodowe i nowy rząd bez ustanku wszystkich dookoła przepraszają, sumitują się, ustępują, byle kogoś nie urazić. Czy coś z tego wynikało ze strony Czechosłowacji? Czy wspólne msze i piękne słowa spowodowały napływ do nas pieniędzy? Nie, Kohl wołał kupić zgodę Gorbaczowa na zjednoczenie, bo wie, że Polska i tak mu nie podskoczy. Jeszcze domaga się specjalnych praw dla niemieckiej mniejszości, droczy się z uznaniem naszej zachodniej granicy. Uważamy za wielki sukces, iż dołączono nas na odczepnego do rozmów 2+4 w sprawach granicznych. RFN zyskała w ostatnich latach wielu sympatyków, którzy bądź sami byli w niej, pracując czy odwiedzając znajomych, bądź wspartych pomocą charytatywną stamiąd. Przecież od dwóch lat działa Towarzystwo Polska - RFN, także we Wrocławiu. Ale przecież polityka to interes. Kohl załatwił zgodę i ustępstwa Polski na zjednoczenie, osłabił blok moskiewski, co ułatwiło mu owe kroki przybliżające RFN do dominacji w Europie, a do reszty Polacy są mu niepotrzebni. Stąd i wyjechać oni do kraju szczęśliwości, jak niektórzy oceniają zachodnie Niemcy, nie bardzo mogą.

Takie coś i mnie się przytrafiło, choć wniosek o wizę złożyłem w połowie maja. Czekałem ponad dwa miesiące, a w rezultacie, wskutek kilkudniowego opóźnienia ze strony ambasady (a to kolejka, a to limit przyjęć wyczerpany, a to za brakło wkłęk wizowych, a to nie ten dzień wydawania paszportów), w leń wziął cały początek bardzo starannie przygotowanego planu podróży po RFN - znów samochodem, taki rzeczystwy Tour d'Allemagne. Ież to kosztowało! Ubezpieczenie indywidualne (choć miałem zaproszenie prywatne i oficjalne), samochodowe: 85 tys. zł za wizę (!) itp.,

itd. Skręcało mnie na myśl, co ja miałem przez te dni zobaczyć, jakie cudenka zwiedzić. Ano cóż, może następnym razem. Może zachodnia Europa ulituje się nad Połaczkami i "wynagrodzi" za zasługi w obaleniu komuny, kto wie?

Wreszcie z tygodniowym opóźnieniem wystartowałem do granicy, którą (pominąwszy bardzo niesympatycznie zachowującego się czeskiego pogranicznika) pokonałem w 45 min. - mimo iż byłem trzeci, a całe prace kontrolne ograniczyły się do obejrzenia paszportów. "Nowe" idzie wolno, stara to prawda. Natomiast zaskoczenie na granicy z RFN, na przejściu Strazny - Phillipsreuth długa kolejka samochodów z Czecho-Słowacji. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że przecież nasi południowi sąsiedzi nie muszą już mieć wiz do Europy Zachodniej. Skorzystali z tego skwapliwie: Bawaria aż po Monachium była latem zalana gośćmi z CSRF, najczęściej zresztą z jednodniową wizytą. Dużo także autostopowiczów, głównie młodzieży, ciągnących nawet w dalsze rejony Europy. Równocześnie też dużo Niemców z NRD, łatwo rozpoznawalnych dzięki trabantom i wartburgom. Ale tych samochodów coraz mniej, znaleźć je można porzucone koło autostrad czy w lasach. Po wymianie marek enerdoców ogarnął swoisty amok: jak najszybciej kupić zachodnie auto. Mogą to zresztą uczynić bardzo łatwo, gdyż niemal w każdej wsi urządzono stoisko samochodów, głównie używanych. Nic dziwnego, że przemysł motoryzacyjny RFN osiągnął w sierpniu 6-proc. zwwyżkę produkcji. Nie mogą się jednak temu nadziwić Niemcy z RFN. Jak to, mówią, takie bezrobocie i kryzys w NRD, a ci, zamiast inwestować we własnym kraju, szaleją z samochodami?

Turystyka tego lata miała wyraźny posmak enerdocowski. Każdy szanujący się mieszkaniec RFN chciał na własne oczy sprawdzić, jak wyglądał pokomunistyczny kraj Niemiec, jacy tam żyją ludzie, czy oby rzeczywiście to Niemcy, czy kraj taki sam. I w wielu wypadkach wywozili szokujące dla siebie wrażenia, a to nie chciano ich obsłużyć, bo nie ta godzina, albo już po godzinach, a to chętnie wyciągano dłoń do Bonn, ale brak własnej inicjatywy. W sumie zapanował nastrój pełen obaw przed zjednoczeniem, obaw związanych z kosztami tego interesu. Kohl, mawiano, chce być drugim Bismarckiem, ale my nie chcemy tyle za to płacić. Bo zapowiedziano wprowadzenie podatku "zjednoczeniowego". Ktoś musi sfinansować tę sprawę, a na Zachodzie, wiadomo, tym kimś jest podatnik, który płaci, ale w zamian chce wpływać na sprawę. Osobiście byłem pod koniec niemal sześciotygodniowej podróży dość zmęczony tą problematyką, niemniej jednak zrealizowałem wspaniały program, tak, krajoznawczy, jak i naukowy. Na liczniku prawie 4700 km, cała RFN wokół objechana, wiele wspaniałych miejsc i zabytków, wielu wspaniałych ludzi. O niektórych sprawach trzeba będzie napisać odrębnie, bo jestem przekonany, że zainteresują one szczególnie. Na przykład o miejscach związanych ze św. Jadwigą, która spoczywa w Trzebnicy, ale urodziła się koło Monachium. Albo o wspaniałym kościele św. Jana Nepomucena, zwanego Asamkirche, w Monachium. Artyści dorobili się takiego majątku, że wykupili blisko centrum trzy parcele. Na jednej wystawili dom, na pozostałych prywatny kościół. Fasada ładna, barokowa, ale wnętrza olśniewa

bogactwem stylowych dekoracji i grą światła. Oczywiście bracia Egidiusz Kwiryn i Kosma Damian stworzyli piękne freski, przy czym ten pierwszy po raz ostatni. Przechodzą one już, wraz z niektórymi detalami, w rokoko, przez co subtelność i finezja osiąga tu szczególnie poziom. Albo kościół Teatynów, tak znaczący w historii sztuki, nakryty kopułą wysokości 71 m, także w stolicy Bawarii.

"Poświęciłem się" i odwiedziłem zamek Hohenzollern, który malowniczo piętrzy się na wysokiej i stromej górze koło Hechingen, na zachodnim podnóżu Albu. Po zniszczeniach w wojnie trzydziestoletniej i późniejszym opuszczeniu został właściwie na nowo zbudowany (poza kaplicą) w latach 1850 - 67 wg projektu von Prittwitz, Zyskał strzelistą, romantyczną nieco sylwetę dzięki ówczesnie żyjącym Hohenzollernom, którzy byli od XVIII w. królami Prus. Tu właśnie, po 1945 r., przeniesione zostały sarkofagi Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma I, stojące pierwotnie w Poczdamie, ale przez władze NRD uznane za wrogię ustrojowi. W sierpniu ogłoszono, że wkrótce wrócą one na swoje miejsce, taka bowiem była wola zmarłych. Niektórzy Niemcy dziwili się, iż byłem właśnie tam. Ale przecież zmarli są niegroźni, zaś zamek jest zamkiem, doprawdy ciekawym.

Cenna z turystycznego punktu widzenia wydaje mi się wizyta w Hanowerze. Zwiedziłem tam m.in. ratusz, ciężką wilhelmińską budowlę, jak i inne bardzo pompatyczne. Ale dwie rzeczy są godne odnotowania. Na kopule urządzono punkt widokowy, na który wywozi winda, jednakże nie taka sobie zwykła. Otóż samo pudło jest rombościanem, gdyż wjeżdża po zakrzywionych prowadnicach, stycznie do dachu. Pierwszy raz coś takiego widziałem! I podobno przynosi całkiem niezłe zyski. Nie dziwi się, gdyż widok jest piękny, obejmuje całe miasto i jeszcze rozległe okolice wokół. Zaś w wielkim holu uwagę przyciągają cztery modele miasta, ukazujące jego stan przestrzenny i wygląd w różnych epokach. Pełno przy nich zwiedzających, przewodnicy objaśniają je swoim grupom. Czy to nie dobry pomysł?

Nie mogę nie wspomnieć o Bernkastel-Kues, leżącym pięknie w dolinie Mozeli. Dlaczego? Odwiedziłem tam dom, bardzo zbliżony do oryginalnego i na miejscu pierwotnego stojący, w którym urodził się Mikołaj Krebs, zwany później Mikołajem z Kuzy lub Kuzańczykiem. Żyjąc w I połowie XV w. doszedł do godności kardynalskiej, był przy tym wybitnym humanistą i twórcą słynnej mapy Europy Środkowej (ok. 1450r.).

A wspaniała, choć w dużej mierze pochodząca z XIX w., katedra kolońska czy cudowne, bizantyjskie w nastroju wnętrza dawnej rotundy (dziś część katedry) w Akwizgranu, związane z Karolem Wielkim. Tu materializują się przeczytane książki, podręczniki historii sztuki i dziejów powszechnych. Wszędzie tłumy i turyści. Niemcy jeżdżą od dziecka ze swoimi rodzicami, potem sami, zwiedzając poszczególne miejscowości i obiekty. Ich nie trzeba namawiać do turystyki. Ale też mają pieniądze i samochody, choć rzecz jasna, nie chodzi tylko o nie.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie napad Iraku na Kuwejt. Kosztowało mnie to o wiele więcej niż liczyłem na początku. Ja też na tym straciłem, ale kto mi to zwróci? Rząd USA - nie, rząd Iraku - tym bardziej nie. Europa przekształca się we wspólny dom, zaś reszta świata skłonna jest jeszcze pograżać we krwi. Taki jest koniec XX wieku.

Krzysztof R. Mazurski

# GÓRY i ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

## Wrocławianie w górach świata (IV)



Latem 1968 r. na Kaukazie przebywają grotolazi z Wrocławia. Są zaproszeni przez kluby z Nowosybirsk i Krasnojarska. Siedmiuosobową wyprawą kieruje Stanisław Jodłowski. Dzięki dobrym kontaktom mają niezłą swobodę poruszania się i oprócz wejść jaskiniowych, kąpiele w Morzu Czarnym. Stanisław Aniol, Jan Juszkiewicz i Kazimierz Piotrowski dokonują kolejnego "wrocławskiego" wejścia na najwyższy szczyt Kaukazu - Elbrus (5633 m).

Zimą 1969 r. grotolazi i alpinisci z Nowosybirsk przebywali we Wrocławiu i rezultatem tej wizyty była pierwsza polska wyprawa w Pamiro-Alaj, licząca 6 osób. W skład niej weszli dwaj wrocławianie - Kazimierz Głazek i Bogdan Jankowski. Cała wyprawa liczyła aż 82 alpinistów, a kierował nią Walery Mieńszykow z Nowosybirsk. Rejonem działania była grupa górską Małcza w Pamiro-Alaju. Góry te do czasu wyprawy, pod względem alpinistycznym były prawie całkiem "dziewicze". Nasi alpinisci zdobyli po raz pierwszy 13 szczytów, w tym 8 liczących ponad pięć tysięcy metrów. Były to przeważnie nadzwyczaj lub bardzo trudne wspinaczki, trwające po parę dni każda. Bogdan Jankowski, oprócz zdobycia kilku szczytów, przywiózł do kraju znakomitą dokumentację fotograficzną obrazującą nie tylko nieznanne nam góry, ale i folklor Azji.

Nie popisali się nasi koledzy klubowi w nadawaniu nazw nowo zdobywanym szczytom. Kazio Głazek po wejściu na szczyt liczący około 5500 m nazwał go "Szczytem Hanki", t.j. imieniem jego pierwszej żony. Pojawiły się także szczyty "Maryli", "Warszawa" oraz "25-lecia Polski Ludowej" - o tę ostatnią nazwę podejrzewam kierownika wyprawy Tadeusza Rewaja ze Szczecina, który taką nazwę traktował poważnie. Sądzę też, że zdobywców szczytu liczącego 5207 m, t.j. Bogdanowi Jankowskiemu, Kaziowi Głazkowi, Tadekowi Piotrowskiemu, Krzyszłowi Cieleckiemu coś podobnego nie przyszło do głowy, głównie chyba dlatego, że nikt z nich nie miał pojęcia, że taka rocznica właśnie minęła. Przypomniało mi to zresztą nazwę pięknego i trudnego szczytu na Kaukazie, który Rosjanie pod koniec lat trzydziestych nazwali "Pikiem Wolnej Hiszpanii", z tą różnicą, że wolna Hiszpania ma się dobrze w EWG, a Polski Ludowej już nie ma.

Oczywiście wyprawa w dalekie góry Azji i zdobycie tylu "dziewiczych" szczytów przysłoniła wszystkie inne osiągnięcia wrocławian w 1969 r. W Tatrach "szaleje" Wojtek Kurtyka, wrocławianin, syn znanego pisarza Henryka Worcella. Wojtek właśnie "porobił" w Skalkach (Góry Sokole) takie drogi, że przez dłuższy czas nikt nie mógł ich powtórzyć. W Tatrach także zaczynają swoje wspinaczki takie późniejsze sławy, jak Marek Kęsicki, Krzysztof Wielicki, Bohdan Nowaczyk i Czesław Bajsarowicz.

W wyjeździe organizowanym przez Klub Wysokogórski (obóz centralny) w Alpy Szwajcarskie w lecie 1969 r. uczestniczy Roman Bebak. Wraz z Henrykiem Furmanikiem, Andrzejem Tarnawskim i Adamem Żyzakiem pokonuje najtrudniejszą grań "Góry gór" czyli Matterhornu 4447 m. Pod sam koniec sezonu letniego 1969 r. zawitała do Chamonix grupa wspinaczy, członków Klubu Wysokogórskiego w Warszawie i we Wrocławiu. Dokonali oni kilku ciekawych wejść, z których na szczególne wyróżnienie zasługuje pierwsze na pięćsetmetrową

skalną ścianę Aiguille de l'Eboulement (3599 m) dokonane przez Janusza Fereńskiego, Tadeusza Gibińskiego, Jana Franczuka i Andrzeja Mroza w dniu 4 września 1969 r. Przejęciem tym nasi wspinacze rozwiązali rzadki już w Alpach problem - zupełnie dziewiczą ścianę - i spotkali się z zasłużonym uznaniem fachowców francuskich - tak pisał w tomie piątym serii "W skałach i lodach świata" - "Himalaje-Karakorum" - Kazimierz Sausse-Tobczyk. Pamiętam, że aby dojść pod ścianę Aiguille de l'Eboulement, musieliśmy autostopem pokonać tunel pod Mont Blanc i przejść na "zielono" na stronę włoską, bo oczywiście nie mieliśmy wiz. Przeszliśmy obok zdruzzonej straży granicznej i celników i nikomu z nich nie przyszło do głowy sprawdzić czterech facetów z ogromnymi bądz co bądz plecakami. Jakież to "luksus" w porównaniu z przeskakiwaniem o czwartej nad ranem Rybiego Potoku, pętaniami się po mokrych haseczkach, po to żeby dostać się do Doliny Białej Wody na Słowacji, co czynili wielokrotnie przekraczając "nielegalnie" groźną granicę wszyscy polscy taternicy, alpinisci i himalaisci, nie wyłączając obecnego wiceministra Obrony Narodowej Janusza Onyszkiewicza, wiceministra Kultury i Sztuki Michała Jagielly i szefa urzędu ds. uchodźców Zbyszka Skoczyłasa.

Po to, żeby powspinać się legalnie na Słowacji, trzeba było wyrabić co najmniej przepustkę turystyczną i przekraczać tam i z powrotem granicę na Łysej Polanie, co było stanowczo zbyt uciążliwe dla wspinaczy siedzących sobie w Morskim Oku.

W Chamonix bawiła również Wanda Błaszkiwicz, ale pogoda była fatalna i nie szczególnego nie działała. W Alpach Delfinatu (Francja) wspinali się: Staszek Galary, Mirosław Bogucki i Marek Trzeciakowski. W lutym 1969 r. w wyjeździe zorganizowanym przez Komisję Sportową Klubu Wysokogórskiego w Alpy Julijskie bierze udział Tadeusz Gibiński, który wprawdzie jest członkiem Klubu Gliwickiego, ale mieszka, studiuje i pracuje we Wrocławiu, i jest jedną z najbarwniejszych postaci naszego środowiska.

Rok 1970 to kolejna wyprawa w Pamiro-Alaj i Pamiar organizowana centralnie przez Klub Wysokogórski wraz z zaprzyjaźnionymi już Sybirakami. Tym razem wyprawą kieruje Andrzej Zawada, o którym wiadomo, że będzie szefem przyszłej narodowej wyprawy na jeden z wysokich, niezdobitych tzw. "wysokich siedmiotysięczników". Jego zastępcą jest Bogdan Jankowski, a w składzie najlepszy aktualnie "zimowy" zespół - Jan Franczuk z Wrocławia i Tadeusz Piotrowski ze Szczecina. W wyprawie bierze udział również zespół kobiety, czyli Wanda Błaszkiwicz-Rutkiewicz i Halina Kruger z Warszawy. Łącznie w wyprawie uczestniczy 8 osób, w tym trójka wrocławian. Początkowo działają w Pamiro-Alaju w rejonie lodowca Zerawszanckiego, a następnie przenoszą się pod Pik Lenina. Niestety, tym razem w Pamiro-Alaju nie dopisała pogoda i oprócz wejść aklimatyzacyjnych i zdobycia szczytu Fedczenki (5409 m) większych sukcesów w tych górach nie było. Pik Lenina (7134 m) wyprawa potraktowała poważnie wchodząc nań aż przez pięć dni, nie mniej jednak weszli wszyscy uczestnicy i sprawdzili swoje organizmy na wysokości. Rezultatem tej wyprawy był również początek długotrwałej współpracy późniejszego kierownika najważniejszych polskich wypraw narodowych - Andrzeja Zawady z Bogdanem Jankowskim.

Janusz Fereński

## Początek

W pierwszym tygodniu 1970 roku dowiedziałem się, że Sekcja Grotolazów organizuje kurs dla początkujących. Miałem już wówczas skończone 16 lat, "bogata" przeszłość rajdowo-turystyczną, po uszy tkwiłem w działalności petetekowskiej, zdobywałem odznaki i uprawnienia, pod skrzydłami Oddziału PTTK Wrocław-Fabryczna organizowałem i szkoliłem się, każdą sobotę i niedzielę spędzałem na szlaku, lecz na jaskinie musiałem mieć pozwolenie rodziców. Nie przeczuwając co z tego wyniknie w przyszłości, Mama podpisała "cyrograf" bez oporów, z właściwym sobie zrozumieniem i tolerancją.

Istotnie, nie można było wtedy przewidzieć, że objanie się po jaskiniach może zaprowadzić kiedyś w Himalaje, że PTTK Fabryczna będzie wspomagał finansowo moje wyprawy na Everest i że góry staną treścią mojego życia. Wypadki potoczyły się szybko. Judo, które trenowałem, przestało mnie nagle interesować, rajdy zeszyły na dalszy plan. W soboty jechałem do szkoły z plecakiem (zimną także z zekanem), by zaraz po ostatniej godzinie gnać na dworzec, na pociąg do Jeleniej Góry. Rok później zapisałem się do Klubu Wysokogórskiego i zaliczyłem kurs wspinaczkowy.

W tamtych czasach uczęszczałem do Lotniczych Zakładów Naukowych na Psim Polu. Dawano nam tam dobrze w kość. Na dojazdy marnowałem nawet i 3 godziny dziennie, nauki było dużo, do tego projekty, warsztaty, praktyki. Paradowaliśmy w mundurach, zaś oszalały na punkcie dyscypliny wicedyrektor S., zwany Ciapkem, maltretował nas przeglądami ich stanu, sprawdzał, czy chodzimy w kapciach i czy aby na pewno nosimy spodnie "mundurowe". Jednak ulubionym jego konikiem były... włosy. Musiały być krótkie i nie mogły sięgać kolanu marynarki. A były to akurat czasy, w których kawaler bezwzględnie powinien był mieć szopę na głowie, my natomiast właśnie zaczynaliśmy na poważnie kombinować z panienkami. Cóż, sypiało się w pończochach naciąganych na mokre włosy, do granic możliwości wydłużało szyję i maksymalnie obciążało mundur do dołu. Ciapka niektórzy z nas omijali z daleka, jak zgniętą pasztetówkę. Z tamtych lat zachowałem do dziś wstręt do uniformów i słabość do długich włosów oraz przekonanie, iż w odniesieniu do pewnych nauczycieli, powiedzenie: "kto umie, ten pracuje, kto nie umie, ten uczy", jest jak najbardziej prawdziwe.

1 maja 1970 r. spędziłem w Olsztynie koło Częstochowy, gdzie pracowicie człogałem się w błocie tamtejszych niewielkich jaskiń. Tym samym miałem "nieusprawiedliwioną nieobecność" na pochodzie pierwszomajowym, gdzie oczywiście obecność była obowiązkiem pod groźbą najróżniejszych szykan. Sytuacja taka powtarzała się przez wszystkie następne lata, ale muszę przyznać, że miałem szczęście do wychowawców, którzy przyjmowali do wiadomości najbardziej nieдорęczne usprawiedliwienia i jakoś to uchodziło na sucho.

Pierwsze dni spędzone w skałkach koło Jeleniej Góry w kwietniu 1970 roku, pozostawiły mi w pamięci niezatarte wspomnienia i to z kilku powodów. Wszystko z czym się wtedy zetknąłem było nowe, nieznane i ekscytujące. Pierwsza wspinaczka po dwudziestometrowej drabince wiszącej na znacznej długości bez kontaktu ze skałą przyprowadziła mnie do lekkiego zawrotu głowy. Wejście po linie za pomocą węzłów samozaciskowych omal nie zniechęciło mnie do całej zabawy, gdyż źle dopasowane długości pętli i ucisk liny pod pachami pozbawiły mnie zupełnie władzy w rękach. Na szczyt Krzywej Turni wyczołgałem się zmaltretowany i to tylko dzięki perswazji Marka Kęsickiego, będącego jednym z instruktorów. Za to pierwsze wspinaczki po skałce to było to, o czym ze spotniałymi ze strachu dłońmi marzyłem przeglądając wcześniej album o Tatrach. Już wkrótce miało się okazać, że właśnie alpinizm powierzchniowy będzie moim ulubionym narkotykiem, a epizod jaskiniowy w mej alpinistycznej karierze zakończy się udziałem w trzydniowym kopaniu zamulonego korytarzyzyska w Jaskini Czarnej w Tatrach.

Po dniu wypełnionym zajęciami kursowymi, wszyscy, przeważnie studenci lub młodzi pracownicy nauki, gromadzili się przy sztolni pod Krzywą Górą, gdzie rozpalano ognisko, przy którym przesiadywało się do późnej nocy. Umysłny wysłany z bilonem do pobliskich Karpnik, przystaszczył wielki plecak flaszek z czerwoną jeszcze wtedy kartką i od tego momentu pieczę nad nim obejmowała jedyna wtedy abstynentka w tym towarzystwie, matematyczka Anka Radziejska, polewająca sprawiedliwie do jednego kieliszka, czyli "po góralsku". Tak, wszystko było wówczas nowe i nieznane, również biwak pod gołym niebem, w czym nie przeszkadzały nawet kwietniowe przymrozki.

Już przed wielu laty, kluby wysokogórskie nazywano "kapliczkami straceńców" i nawet dziś, taterników często i nieuczynnie nazywa się samobójcami. Bo przecież ani Marek, który zginął w 1975 r. podczas zejścia z pierwszego zdobytego przez Polaków ośmiotysięcznika (Broad Peak Middle - 8016 m), ani Anka, która połączona liną ze swym partnerem spadła ze ściany Trigława w Jugosławii w 1972 r., nie poszli w góry po śmierć, lecz po radość zdobywania i po smak zwycięstwa nad własną słabością i trudnościami, czyli po to, co jest elementami życia tzw. pełnego.

Koło Wrocławskie Klubu Wysokogórskiego nie miało jeszcze wtedy własnej siedziby, a zebrania odbywały się w gościnnych murach Politechniki, w salach wykładowych. Później, wraz z powstaniem Polskiego Związku Alpinizmu Koło stało się Klubem Wysokogórskim we Wrocławiu, który z czasem dorobił się nawet lokalu i biura. Dziś suterene mieszcząca salę zebrania wypełnia tłum młodych ludzi, z których większość w okolicach 1970 roku jeszcze nie było na świecie.

Ilu z nich dotrze na szczyty himalajskich olbrzymów? Może jeden, może kilku lub nikt. Ale z pewnością dla niektórych góry będą solą ich życia, a dla kilku - niestety - także kresem.

(cdn)

## Najstarsze przewodniki

Można iść o zakład, iż większość polskich turystów jest przekonana o początkach turystyki na naszych ziemiach w Tatrach i że tam właśnie pojawiły się pierwsze pisane przewodniki. Nie bardzo błędne! Może na najszerszą skałę dowód temu dało po raz pierwszy XI już Sympozjum KTG ZG PTTK zorganizowane 2. grudnia ub. roku w Krakowie pod nazwą: "Najstarsze polskie przewodniki górskie". Na spotkaniu tym, które zgromadziło liczne i szacowne grono działaczy turystyki górskiej i miłośników gór w ogóle, wygłoszono kilka niezmiernie interesujących referatów. Zostały one zawarte, co też jest godnym uznania, w wydrukowanej wcześniej (staraniem ZW PTTK we Wrocławiu) broszurze, doręczonej uczestnikom. Można ją zresztą kupić tu i ówdzie, a najlepiej w Komisji. Dzięki niej materiały mają żywot dłuższy niż sam okres sympozjum. Warto do nich sięgnąć i mieć stale pod ręką.

Wprowadzenie dał Jacek Kolbuszewski w referacie "Od spisków do przewodników", a więc w ujęciu historyczno-literackim. Warto dodać, iż w niedawno ukończonych badaniach Instytut Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego

pozyskał opracowanie dotyczące typologii przewodników turystycznych, w których te najstarsze zostały oczywiście potraktowane z należytą uwagą. Marek Staffa podsumował w zasadzie dotychczasowe ustalenia, choć nie wykorzystując wszystkich oryginalnych analiz, co do początków i charakteru "Najdawniejszych przewodników sudeckich w języku polskim". Jest ich sporo i zaczęły się one ukazywać daleko wcześniej przed tak hołubionymi przewodnikami tatrzańskimi. Mimo wszystko Sudety nie wypadły sroce spod ogona, oczywiście to prawda. Poła Kuleczka z właściwym jej wdziękiem i smakiem literackim, przy dużych wszakże kompetencjach turystycznych, zajęła się "Beskidami Zachodnimi w pierwszych przewodnikach", zaś równolegle Jan A. Choroszy "Wiekami dziewiętnastym w Karpatach Wschodnich". Zapewne niejednemu zakręciła się łza w oku, bo to tak dalekie dziś, a jednak tak bliskie góry! Wiesław A. Wójcik poważnie przeanalizował okoliczności powstania i specyficzne cechy "Najdawniejszych przewodników tatrzańskich". No cóż, są to tak wysokie góry i tak groźne, iż wymagają one wielkiego szacunku. A piękne są swoją drogą.

Nieco odbiega zakresem rozważań referat Arkadiusza Franasa, który zajął się "Przewodnikiem Aleksandra Ostrowicza". Chwała mu za to, bo to najlepszy XIX-wieczny przewodnik z terenu Sudetów, w pełni nowoczesny, wymagający znacznie lepszego traktowania i lepszego miejsca w historii polskiego przewodnikopisarstwa. Bodaj jedyny egzemplarz znajduje się w bibliotece PTPN w Poznaniu, a jego mikrofilm w Gabinetie Śląsko-Łużyckim Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu na Piasku. Autor ów sięgnął do szerszego kręgu piśmiennictwa na ten temat, za co należy się odrębne uznanie.

W sumie należy powiedzieć: impreza dobra, ciekawa, przyniosła trwałe efekty. Niech żałuje, kto nie był! Nasuwa się jednak mimo wszystko pytanie: dlaczego zabrakło na niej, i to w charakterze głównego referenta, Ryszarda Kincla, odkrywcy tyłu ciekawostek z historii turystyki sudeckiej i śląskiej, w tym badacza jakże ważkich problemów z zakresu historii sudeckiego przewodnikopisarstwa? Nie mógł, nie wiedział, nie chciał? Szkoda.

Henryk Krzysztoforski

## Obwarowania miast dolnośląskich

Wśród wielu zabytków Dolnego Śląska do bardziej interesujących należą pozostałości średniowiecznych fortyfikacji miejskich, otaczające liczne zabytkowe ośrodki miejskie. Mury te świadczą o bogatej i wczesnej historii miast śląskich, o ich znaczeniu i wysokim stopniu samodzielnosci ekonomicznej i politycznej.

Na obszarze Dolnego Śląska istnieją 63 miasta, które posiadają lub posiadały średniowieczne mury obronne. Nie znaczy to, że pozostałe żadne fortyfikacji nie miały. Były to jednak obwarowania innego typu - mianowicie: wały ziemne, palisady, rowy lub fosy (np. w miastach: Milicz, Rudna, Wiązów, Uraz, Zmigród).

Wśród wymienionych 63 miast przynajmniej 50 również posiadało początkowo (XI - XIII w.) takie obwarowania. Osady te - jeszcze przed tzw. lokacją na prawie miejskim - pełniły już rolę miast. Zresztą i prawa miejskie nadawane były tu stosunkowo bardzo wczesnie. Interesujące nas miasta posiadały prawa miejskie już w XIII w. (44 miasta, w tym 11 w pierwszej jego połowie - bądź też w XIV w., 12 miast lokowanych przeważnie do końca 1 poł. XIV w.). Fakt lokacji na prawie miejskim łączy się przeważnie m.in. z powiększeniem obszaru osiedla, porządkuje stosunki prawne, wpływa na ukształtowanie się całego układu komunikacyjnego i przestrzennego miasta, a co za tym idzie - ma niejednokrotnie ścisły związek z rozwijającym się, zmienionym lub tworzącym systemem obronnym.

Wznoszenie mury obronnej miast śląskich sięga bardzo odległych czasów. I tak, w omawianej grupie osiem miast otrzymało, bądź rozpoczęło budowę murów w 2 poł. lub pod koniec XIII w., 46 miast otoczono murami w XIV w. (11 w jego pierwszej połowie), w 8 miastach mury obronne wzniesiono w XV w.

Obok muru obronnego - nierzadko połączonego z fosą, palisadą czy wałem ziemnym - obronność miasta podnosiło istnienie grodu - zamku w obrębie murów miejskich, bądź w ich bezpośrednim pobliżu. Liczba obiektów tych przekracza 30.

Niejednokrotnie w pobliżu muru istniał też mury kościół - z wieżą lub bez - o charakterze obronnym. Elementami zespołu fortyfikacji miejskich były: wysoki (5 - 12 m) mur kurtynowy o grubości od 70 cm do 2,5 m, zwieczony drewnianym gankiem straży od strony wewnętrznej, zasłonięty przed nieprzyjacielem charakterystycznymi blankami ze strzelnicami; baszty (wieże) obronne często z wykuszami wysuniętymi przed lico, nasyp ziemny, fosa i częstokół drewniany. Oczywiście wykorzystywano też przeszkody naturalne, jak: rzeka, strone wzniesienie terenu, bagno itp. Szczególnie umocnionymi punktami obrony były bramy miejskie z reguły sąsiadujące z wysokimi wieżami bramnymi (np. we Lwówku Śl., Nysie, Paczkowie, Złotorzy), lub też znajdujące się bezpośrednio w wieży (Oleśnica, Ziębice).

Wjazd do miasta prowadził przez zwodzony most nad fosą lub rowem, a otwór bramy zabezpieczony był kutą kratą (broną), spuszczaną w przypadku niebezpieczeństwa, i drewnianymi okutymi drzwiami - czasem podwójnymi, a nieraz nawet potrójnymi (Wolów). Wymiary, kształt i rozstaw (wzajemna odległość) baszt nie były jednakowe - i tak na podstawie zebranego materiału wydaje się, że wcześniejsze założenia (koniec XIII w. - połowa XIV w.) operowały częściej prostokątnym rzutem baszty (Wrocław, Bystrzyca Kł., Chojnów, Strzegom, Lwówek Śl. i Lubin) - natomiast w 2 poł. XIV w. i w wiekach następnych chętniej stosowano baszty lub baszteje o rzucie koła lub półkola. Odnosnie rozstawu wiadomo, że baszty wrocławskie (pierwszego muru) rozstawione były co ok. 30 m, we Lwówku Śl. (również pierwszy - wewnętrzny pierścień) co około 50 m. Zbliżona odległość była w Legnicy, której wewnętrzny pierścień murów miał 30 baszt. Zasadą była odległość skutecznego celnego strzału z łuku lub kuszy, wahająca się właśnie od 30 do 50 m. Również ilość bram w murach miejskich była niejednolita. Przeważnie miasta miały

po 3 (18 przykładów) lub 4 bramy (14 przykładów), 18 miast miało 2 bramy, ale trafiały się również duże ośrodki o pięciu (Wrocław - pierwszy zespół, Strzegom, Ziębice), a nawet o sześciu bramach (Świdnica, późniejsze założenia wrocławskie). Ponadto w murach zdarzały się furty. Niekiedy po dwie - jak w Środzicy Śl., Ścinawie czy Chojnowie. Niektóre z nich z czasem rozbudowywane były jako dodatkowe bramy (Złotorzy). Mury obronne miast śląskich z reguły przebiegały po linii wytyczonej w formie mniej lub więcej regularnego koła (Dzierżonów, Świebodzice) lub elipsy (Wolów, Bolesławiec, Gryłów Śl., Jawor i in.). Poważniejsze odkształcenia wynikały z ukształtowania terenu lub potrzeby włączenia w obręb muru jakiegoś wcześniejszego założenia (np. w Oleśnicy). Jednym przykładem prostokątnego obrysu murów miejskich stanowi Środa Śląska. Ponadto w Bolkowie południowy i wschodni odcinek muru miejskiego poprowadzony jest po liniach prostych, załamanych pod kątem prostym. Zbliżony do prostokąta obrys murów ma także Strzelin.

Mury obronne miast śląskich przeszły ciężkie próby, szczególnie w czasie wojen husyckich w latach 1426 - 1438. Okres ten niewątpliwie był jednym z powodów dalszej rozbudowy fortyfikacji miejskich, tym bardziej, że XV-wieczna modernizacja obwarowań - oprócz dotychczasowej broni, jak łuki, kusze, kamienie, wrzątek i smola - w szerokim zakresie uwzględnia już stosowanie lekkiej broni palnej i artylerii. Być może, że właśnie możliwość osłabienia uderzenia, bądź też rykoszetu ciężkich pocisków artyleryjskich, wpłynęła na popularność zastosowania baszt, a później baszej cylindrycznych budowanych na rzucie koła lub półkola.

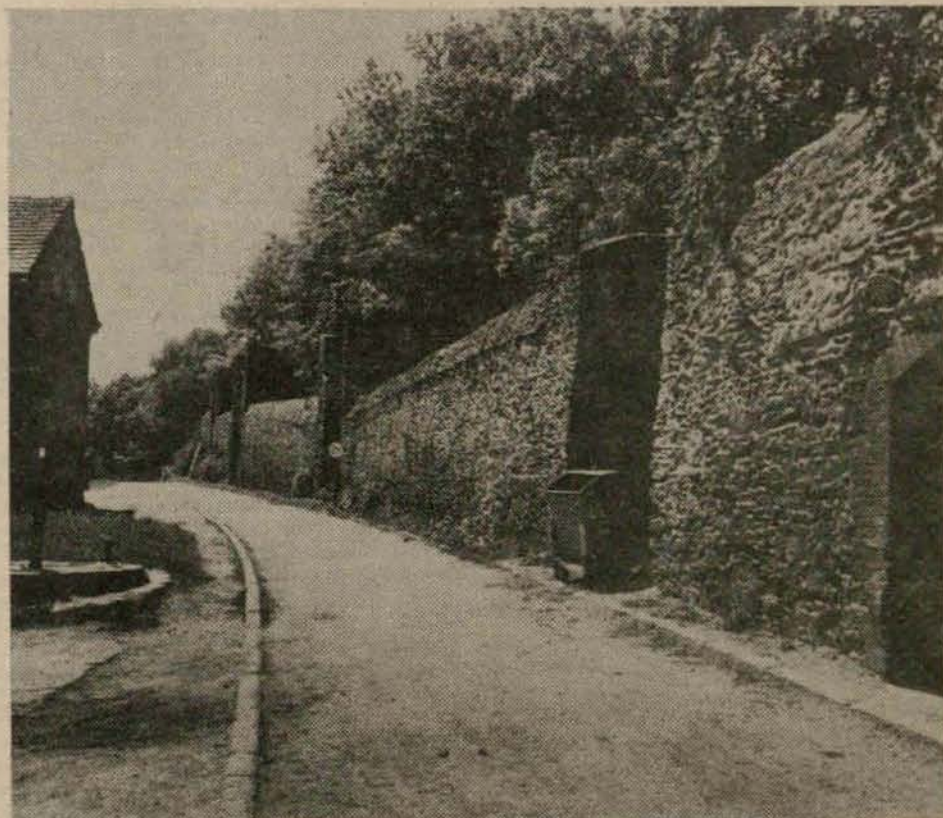
Kilkanaście miast z omawianej grupy otrzymuje drugi pierścień murów - zewnętrzny - oddalony od pierwszego o 5-8 m (Lwówek Śl.) lub 8-10 m (Złotorzy). Również i w tym drugim murze (niższym i cieńszym) często istniały baszteje (z reguły już półcylindryczne) rozstawione co

około 100 m (Lwówek Śl.). Zwiększenie rozstawu baszej jest zrozumiałe. Przystosowane są one do użycia broni palnej, której donośność jest oczywiście dalsza niż łuku, kuszy, procy itp.

Jeszcze większego znaczenia nabierają przeszkody wodne - fosy. Zakładane są nowe fosy - często wzmocnione nasypami ziemnymi, pogłębiane i umacniane stare. Szerokość fosy, np. w Oleśnicy, osiąga 40 m przy głębokości 4 m. Podwójna fosa w Ziębicach jest lokalnie jeszcze głębsza. Nasypy ziemne wzmocniają również dotychczas istniejące mury. W związku z budową nowych pierścieni obwarowań (w Świdnicy zespół obronny składa się nawet z trzech pasów (!) murów i dwóch fos oraz nasypów ziemnych) przed bramy miejskie wysuwa się dodatkowe umocnienia, tzw. przedbramia, połączone z bramą główną, tzw. gardzielą bramną - murem ze strzelnicami i pomostem bojowym - gankiem straży. Reszta takiej gardzieli zachowała się np. w Niemczy. Dobry przykład tego urządzenia, choć w mniejszej skali i nie związanej z obroną miasta, występuje również przy wjeździe do zamku w Oleśnicy.

Materiałem użytym do budowy i rozbudowy średniowiecznych murów miejskich były bądź kamienie lamane w licznych kamieniołomach Sudetów i Przedgórze Sudeckiego (skały krystaliczne, jak granity, gnejsy, bazalt, gabbro, liczne piaszczowce), bądź cegła wyrabiana z gliny bogatych złóż Niziny Śląskiej. W niektórych wypadkach do budowy murów użyto oprócz kamienia łamanego także ciosów (Lwówek Śl.). Skromniejsze obwarowania (np. Polkowice, Przewóz, Prusice) wykorzystywały także kamień łączony z cegłą - często kamień polny. Zdarzały się też wątki mieszane - tam zwłaszcza, gdzie budowa murów ciągnęła się dłużej, lub nastąpiły poważniejsze przebudowy. Zestawienie porównawcze wykazuje, że fortyfikacje 20 miast spośród analizowanej grupy wykonane zostały z kamienia, 16 z cegły - głównie już w układzie gotyckim jednowózkowym, 12 w wątku mieszanym (kamienno-ceglanym), a 4 - wykorzystując kamień polny jako fundament i dolne partie muru - górne partie miały ceglane.

Mirosław Przytycki  
(dokończenie w następnym numerze)



# Tropami śląskiej księżnej

Piękny, słoneczny dzień. W oddali błyszczą białe szczyty nieodległych Alp, ku którym ciągnie się sfalowane, utkane lasami pogórze. Ku zachodowi rozciąga się tafła rozległego jeziora Ammersee, po którym halsują liczne żaglówki. Po zboczach klasztornej góry Andechs, niedaleko na południowy zachód od Monachium, przewijają się tłumy turystów. Ściąga ich tutaj, zwłaszcza tak licznych w Niemczech zachodnich po ostatniej wojnie Ślązaków niemieckiego pochodzenia, przeszłość i tradycja tutejszego klasztoru i pięknego kościoła. Idzie się doń z rozległego parkingu po schodach, przy którym umieszczono współczesną tablicę upamiętniającą św. Jadwigę. Tak, tę samą, która spoczywa w Trzebnicy. To właśnie tu najprawdopodobniej przyszła ona na świat w z.anej rodzinie grałów von Andechs, późniejszych hrabiów. Dzieje tego popularnego w południowych Niemczech, gdzie przeważa ludność wyznania katolickiego, miejsca pielgrzymkowego sięgają aż X w. Żyjący wtedy Rasso, protoplasta rodu, późniejszy święty, przywiózł w 952 r. z pielgrzymki do Jerozolimy trzy relikwie, osiadając na górze i pełniąc funkcję opiekuna owych świętości. Dlatego też wzniesienie to zyskało rychło nazwę Świętej Góry (Heiligen Berg), 720 m. W późniejszym czasie zaginęły Trzy Hostie, przywiezione z Palestyny, zameczek niszczał. Jak tradycja głosi, relikwie zostały cudownie odnalezione na początku XIV w., stąd w 1388 r. rozpoczęto dla nich budowę kościoła. Na początku następnego stulecia Trzy Hostie sprowadzono z powrotem do Monachium, gdzie były przechowywane i odtąd są one nadal czczone, obecnie w relikwiarzu z 1939 r. w Św. Kaplicy. Właśnie we wznoszącym się tu poprzednio zamczku urodziła się najprawdopodobniej Jadwiga, córka Bertolda VI, grabiego Diessen-Andechs, tytularnego księcia Meranu. Było to około 1178 r., niecałe sto lat przed tym, jak w czasie zamieszek zniszczono gród. W 1190 r. w wyniku decyzji cesarza Henryka VI Staufa, zainteresowanego wschodnimi rubieżami państwa, poślubiła ona Henryka I Brodatego, księcia Śląska Dolnego. Jej pobożność w wieku dojrzalym miała niewątpliwie korzenie w atmosferze domu rodzinnego, przesiąkniętego wszak kultem Trzech Hostii. Nic dziwnego, że w kościele tym spotykamy tyle motywów z nią związanych.

Sama budowla o gotyckiej bryle uległa poważnemu zniszczeniu w wyniku uderzenia pioruna w 1669 r., stąd wewnątrz jest znacznie zmienione. Duży wpływ wywarła barokizacja, przeprowadzona w 1 poł. XVIII w. według planów prawdopodobnie Johanna Michaela Fischera. Zwraca tedy uwagę oryginalne rozwiązanie w formie jakby nadoltarzowego (poświęconego Matce Boskiej) balkonu, na którym urządzono ołtarz z Immaculatą (ok. 1608 r.). Piękne stiuki i freski są robotą Johanna Baptysty Zimmermanna, zaś figury św. Elżbiety turyńskiej i św. Mikołaja - Johanna Baptysty Strauba, w obu przypadkach znakomitych artystów. Zwraca uwagę duża rzeźba jakże znajomego św. Jana Nepomucena (na parapiecie, z lewej strony ołtarza głównego), w nietypowym ujęciu: bez atrybutów, choć w klasycznej pozie, w komży i z gwiazdną aureolą. W bocznym pomieszczeniu stoją olbrzymie świece wotywnie, a w górnej kondygnacji - nowo urządzona na 700-lecie kanonizacji kaplica św. Jadwigi z jej figurą nad ołtarzem i rytowanymi scenami z "Zywoła św. Jadwigi". Tu też umieszczono tak mile dzieciom, ale i starszym turystom, szopki.

Mieszkający tu nadal i opiekujący się sanktuarium ponownie po sekularyzacji benedyktyni prowadzą dla gości dużą gospodę z barem szybkiej obsługi, w którym tradycyjnie królują kielbaski i własne piwo zwane marcowym (Bockbier) - dobre!

Kilka kilometrów dalej leży duża wieś Diessen, rozwijająca się w średniowieczu 1 km od głównej siedziby grałów von Andechs. I tutaj powstał wspaniały klasztor, jakie zaczęto fundować w Bawarii już od 815 r. W 1132 r. został on zastąpiony nową budowlą w obecnym miejscu z fundacji Bertolda I. Należąc do najważniejszych rodzin w południowych Niemczech, hrabiowie ci mogli pozwolić sobie na tak wspaniałe założenie. Ale i ono było zbyt skromne na gust późniejszego opata Renatusa Sonntaga, który w latach 1681 - 88 wznosił nową budowlę. Nie stała ona długo, gdyż zastąpiono ją w pełni barokową w latach 1720 - 28, jeszcze dodatkowo modernizowaną 1732 - 36. Dziś jest to imponujące barokowo - rokokowymi, białe - złotymi dekoracjami wnętrze o długości aż 70,3 m i wysokości 25,4 m w kopule. Autorem tego ostatecznego, przepięknego wyglądu jest wspomniany przy Andechs J. M. Fischer, który nadał mu ściennie - filarową formę. Przyciąga uwagę drewniany ołtarz główny, wykonany z drewna przez Joachima Dietricha. Licząc 20 m wysokości jest on najwyższym barokowym dziełem tego typu w Niemczech.

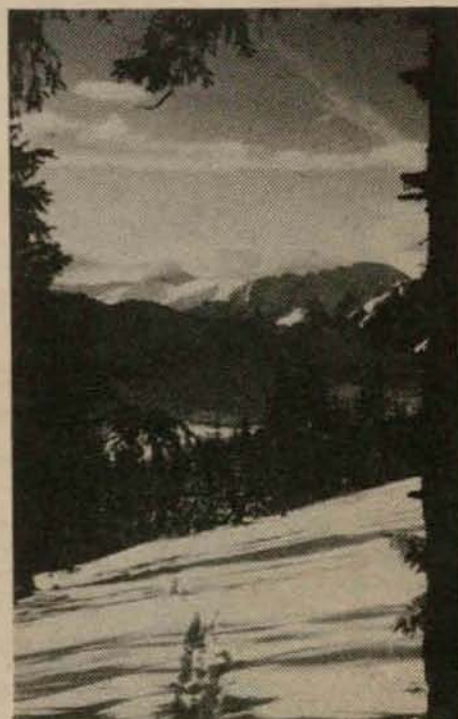
Przypatrmy się chwilę kopule. Oto wymalowana ona została od wewnątrz w 1736 r. przez Johanna Georga Bergmullera, być może przy współpracy Johanna Holzera, wartościową polichromię. Jest to "Gloria świętych i duchownych Diessen i Andechs". Chrystus z aniołami otoczony jest 28 postaciami mężczyzn i kobiet świętobliwych, jakie wydał tutejszy ród grałowski. U podstawy kopuły, w wiezionkawym płaszczu z gronostajowym kołnierzem, uwieczniono św. Jadwigę. Czy to jej jedyny wizerunek? Trzeba wiedzieć, że w ołtarzu św. Marii Magdaleny, trzecim z lewej, w tondzie znajduje się jeszcze jeden obraz przedstawiający śląską księżną (ok. 1737 r., kiedy to w warsztacie J. G. Bergmullera powstał sam ołtarz). Brak jednak jakichkolwiek atrybutów. Przy nim umieszczono płytę nagrobną Bertolda I (zm. 1151 r.). A z innych wspaniałości warto wspomnieć choćby o obrazie "Męczeństwo św. Sebastiana", namalowanego w 1739 r. przez Giovanniego Tiepolo. Znajduje się on w lewym, bocznym ołtarzu.

Jest jeszcze jedna miejscowość w Niemczech, związana z Matką Piastów śląskich, jak ją później zwano. To Kitzingen, położone w zakolu Menu, niedaleko Wurzburga. Tutaj właśnie nielodzianka Jadwiga, chyba w latach 1183 - 1190, przebywała wśród zakonnic, by zdobyć potrzebne pannie wysokiego pochodzenia wykształcenie pod kierunkiem siostry Petrisy (późniejszej pierwszej opatki klasztoru w Trzebnicy). Tutejsze zgromadzenie powstało już w 745 r., rozwijając się wraz z własną osadą, otoczoną następnie wspólnym murem. Wzniesiony później w tym miejscu barokowy kościół włosko - niemieckiego architekta A. Petri w latach 1686 - 99, został przejęty przez ewangelików, zaś klasztor po sekularyzacji (również barokowa, ale skromniejsza budowla) od 1817 r. służy w celach świeckich temu wyznaniu. Dziś jest to uroczą miejscowość, znana najbardziej z pięknej kaplicy Św. Krzyża, zaprojektowanej przez znakomitego Baltazara Neumanna (1741 - 45) i uroczego, kamiennego mostu. Wzniesiono go już około 1300 r., ale w

Dla wyczerpania tematu, dotyczącego miejsc związanych ze św. Jadwigą w Niemczech, należy koniecznie wspomnieć jeszcze o Bambergu. Tu bowiem jej brat Ekbert był od 1203 r. biskupem, który dobrze zapisał się historii Kościoła i tej części Frankonii. Był on m.in. znanym mecenasem sztuki i to dzięki niemu właśnie przybyła do Trzebnicy grupa kamieniarzy, pracujących przy budowie pierwszego klasztornej kościoła, pozostawiając po sobie nie tylko piękne prace (dziś zachowane tylko we fragmentach), ale i dobrze wyszkolonych miejscowych rzemieślników. O mieście nad Rednitzą można by długo pisać, tak obfituje w cenne zabytki. Ograniczmy się więc do ich wymieniania. Na pierwszym miejscu bez wątplenia należy postawić katedrę z lat 1217-37, w której m.in. wyróżnia się wspaniały portal książęcy, słynny tzw. jeździec hamburski (pełnopostaciowa rzeźba władcy na koniu), groby cesarskie i ołtarz Wita Stwosza (1520-25). Piękny jest gotycko-barokowy kościół św. Michała i św. Marcina projektu Dientzenhofferów, którzy naśladowali fasadę rzymskiego pierwowzoru II Gesu. Zauroczyć może Stary Ratusz na wąskiej wyspce, połączonej tylko wąziutkimi mostami z otoczeniem. Na jednym krańcu wisi wprost nad wodą gotycka, szachulcowa część, połączona reprezentacyjną budowlą bramną o wysmukłej sygnaturze ze skromniejszą nieco częścią z drugiej strony wyspki. Po Bambergu można długo spacerować, więc lepiej tam samemu się wybrać, tym bardziej, że łatwiej już to teraz uczynić.

Krzysztof R. Mazurski

Od redakcji: W ramach serii "Na piętniczym szlaku" Wydawnictwo PTTK "Kraj" obdarowało nas pod koniec ubiegłego roku kolejną pozycją. Jest to "Trzebnica" K. R. Mazurskiego, pierwszy w polskiej literaturze tak szczegółowy przewodnik po tamtejszej bazylisce. Dystrybucję prowadzi trzebnicka parafia przy ul. Jana Pawła II.





# GLOBTROTER

- POD REDAKCJĄ LESZKA SAWICKIEGO

Planujemy więc dalej naszą podróż. Wiemy już dokąd i po co: zebraliśmy mapy, plany i przewodniki. Zrobiliśmy wypiski z monografii czy artykułów. Tak, ale to są tylko słowak drukowane, napisane kiedyś-tam, wiadomości być może już zdezaktualizowane w naszym coraz szybciej obracającym się świecie. Warto je więc możliwie wszechstronnie zweryfikować.

## II. Wywiady, czyli jak zbierać informacje

Tak naprawdę, to nie jestem w stu procentach pewien, czy to, co ktoś nam opowiada o egzotycznej krainie którą akurat zwiedził, jest bardziej wiarygodne niż to, co wyczytaliśmy w encyklopedii czy "Poznaj Świecie". Każdy narrator zazwyczaj stara się ubarwić swoją opowieść, w każdej ustnej relacji jest zawsze jakaś doza subiektywizmu. Na szczęście, dotyczy to zazwyczaj wrażeń uczuciowych czy kolorystycznych, i raczej oceny indywidualnej dokonanych spostrzeżeń, a nie faktów podstawowych.

I o te właśnie fakty podstawowe powinniśmy pytać, gdy w końcu znajdziemy kogoś, kto przejechał z krainy będącej naszym zamierzonym celem.

Szukajmy takich ludzi. Reprezentują oni różne profesje i rozmaite motywacje podróży. Wpierw: globtroterzy. Ci zawsze chętnie dzielą się informacjami z przyszłymi podróżnikami. Dalej: handlarze. Ci udzielają informacji mniej chętnie, zwłaszcza że ich zakres zainteresowań zazwyczaj bywa zawężony do obiektów merkantylnych. Znakomitymi, rzetelnymi źródłami informacji są misjonarze, którzy co jakiś czas wracają do kraju po spełnieniu swych pożytecznych posłańców. Równie rzetelne są informacje pracowników placówek dyplomatycznych i handlowych oraz naukowcy, aczkolwiek często są one zawężone do nielicznych miejsc pobytu - stolicy czy większego miasta.

A jak dotrzeć do tych ludzi? To jest już prywatne zmartwienie każdego potencjalnego globtrotera.

Jeśli nasz rozmówca jest chętny a zarazem doładny, to nasza rozmowa z nim będzie dla nas bezcenna. Nie przemęczajmy go jednak za nadto... To, o co nam głównie chodzi w takich wywiadach, to możliwość zabezpieczenia się przed tak zwanym frycowym, czyli przed niepotrzebnymi stratami: czasu, pieniędzy i sił, w pierwszym okresie, gdy wylądujemy w nieznanym kraju. Po kilku dniach pobytu "tam" będziemy już mądrzejsi, najtrudniejsze są pierwsze kroki.

Według zawczasu przygotowanych grup pytań starajmy się dowiedzieć i zanotować informacje o następujących sprawach:

1. Przybycie na lotnisko czy punkt graniczny. Jak wygląda kontrola paszportowa, celna, zdrowotna? Czy jest obowiązkowa wymiana określonej kwoty walutowej? Gdzie wymienić walutę i po jakim kursie? W jaki sposób dostać się (taniej!) z lotniska do miasta?
2. Hotele, hoteliki, schroniska młodzieżowe (Y.H.). Standard, ceny, zniżki i związane z tym legitymacje. Czy istnieją różnice w cenach dla krajowca i zagranicznego turysty?
3. Koszty utrzymania dla średnio zamożnego (lub raczej dla "średnio ubogiego") globtrotera. Ile "zielonych" czy innych jednostek monetarnych trzeba przewidzieć na jeden dzień utrzymania, to jest na posiłki barowe lub restauracyjne plus owoce, piczywo i napoje, na komunikację lokalną i bilety wstępu, na nocleg?
4. Zdrowotność, warunki klimatyczne, zdrowa żywność. Jak chronić się przed chorobami w danym kraju nagminnymi, na jaką pomoc lekarską możemy tam liczyć?
5. Jak przedstawia się komunikacja wewnątrz kraju: koleje, autobusy, statki, krajowe linie

lotnicze, drobny przewóz; ile przeciętnie kosztuje przejazd 100 km?; jakie klasy pociągu czy statku są dopuszczalne dla Europejczyka z punktu widzenia bezpieczeństwa, higieny i wygody?

6. Jakie są warunki bezpiecznego podróżowania po poszczególnych rejonach kraju? Czy są strefy zakazane?
7. Jak można szczęśliwie i bezpiecznie opuścić zwiedzany kraj, aby spokojnie wywieźć bagaż nabytków i skarbczyk miłych wspomnień? Jak wygląda kontrola celna oraz czy istnieje możliwość wymiany zbędnej lokalnej waluty na dolary, przed lub po dokonaniu odprawy celnej?
8. A jakie najpiękniejsze i jakie najokropniejsze wrażenia wywiódł z tego kraju nasz rozmówca?

Jeżeli nasz rozmówca odpowie nam chociażby na dziesiątą część tych wszystkich pytań, to i tak będziemy bodajsi w informację, niż podróżnik zupełnie zielony. Poślizgnijmy mu potem z drogi podziękowanie: ładną widokówkę z zachodem słońca, dymiącym wulkanem lub tańczącymi dziewczętami. To się ceni.

I warto wspomnieć o jeszcze jednej zasadzie, przyjętej we wszystkich służbach wywiadowczych. Każdą informację powinno się sprawdzać "na krzyż", to znaczy szukać jej potwierdzenia w wypowiedziach innego informatora. O ile takiego znajdziemy...

Tyle o wywiadach. Ale wiemy dobrze, że jeśli takich informatorów nie znajdziemy, to i tak wyruszymy na wyprawę. Bo, jak głosi wschodnie przysłowie, lepiej jest raz zobaczyć, niż sto razy usłyszeć...

## Gdzie morza ciepłe i plaże czyste

Kim był nieustraszony kapitan James Cook, na ogół wiemy. Ale gdzie leżą Wyspy Cooka? Daleko, bardzo daleko od nas. Ich mało zmienioną przyrodę, fantastyczny wręcz krajobraz atoli i górzystych wysp przybliżył nam niedawno podczas pobytu we Wrocławiu Chris E. Vaile, mieszkaniec tego rajskiego niemal jeszcze zakątka globu. Widzieliśmy go na filmach video, ale warto przybliżyć ten odległy kraj i innym. Powstają zresztą możliwości odwiedzenia wysp Cooka, gdyż organizowana spółka, wspólnie z PITK, może podjąć i usługi turystyczne. A więc...

Archipelag nazwano tak na cześć Jamesa Cooka, który odkrył w 1773 r. kilka z jego wysp. Jednakże Polinezyjczycy zasiedlili tę część Oceanu już w VII-VIII w., ale największą z nich - górzystą Rarotongę, przybliżyli zachodniej cywilizacji dopiero buntownicy ze słynnego

okrętu angielskiego "Bounty" w 1789 r. Na obszarze 2 mln km<sup>2</sup> leży wśród bezkresnego Pacyfiku 15 wysp o łącznej powierzchni 241 km<sup>2</sup>. Rozciągają się one między zwrotnikiem Koziorożca, a więc od 22° szerokości geograficznej południowej i prawie równikiem - 9°. Natomiast jeśli chodzi o długość geograficzną zachodnią, to wynosi ona 153°30' i 165°. Wyspy Cooka, co może niezbyt dobrze widać na mapie, dzielą się wyraźnie na dwa ugrupowania. Południowa część obejmuje m.in. Atiu, Mangaia, Mauke i największą wyspę archipelagu - Rarotongę o powierzchni 68 km<sup>2</sup>. Tu też znajduje się stolica Awarua. Łącznie mają one 213 km<sup>2</sup>, podczas gdy część północna tylko 28 km<sup>2</sup>, gdyż są to w większości atole z urozczym lagunami, pełnymi barwnych i egzotycznych ryb. Największą z nich, to Penrhyn z bardzo obszernym atolem, obok którego jest jeszcze Manihiki, Rakahanga i kilka innych wysp.

Klimat oczywiście ciepły, a nawet gorący, stąd plażować i kąpać się można przez okrągły rok. Nic dziwnego, skoro najniższa temperatura w sierpniu (tamtejsza zima!) wynosi 18,4°, wzrastając w lutym

do 29,1°. Dużo, dużo słońca, które świeci przeciętnie przez 170-185 godz. rocznie. Za to mało deszczu, bo od 94 mm w lipcu do 254 mm w styczniu. Mimo to przyroda jest wspaniała. Na większych wyspach roślinność nabiera cech tropikalnej dżungli, zaś wszędzie rosną okazałe palmy kokosowe i inne typowe dla tego klimatu gatunki, w tym bananowce, koloklajza, maniok, cytrusy. Absolutny brak, jak zapewniają miejscowe władze, insektów i niebezpiecznych zwierząt, co znacznie ułatwia życie przyjeżdżającym tu turystom.

Wyspy Cooka zamieszkują głównie polinezyjczycy grupy maoryskiej, jednakże w powszechnym użyciu jest język angielski dzięki mieszkającym tu już od dwustu lat potomkom rozbiteków z "Bounty". Są i przedstawiciele innych narodowości, jak choćby Jillian Sobieski, prowadząca studio artystyczne (malarstwo sztalugowe) w południowo-zachodniej części Rarotongi, w sąsiedztwie, a jakże, hoteli i restauracji. W sumie jest około 21 tys. mieszkańców, choć skupieni są oni na kilku zaledwie wyspach, jak np. Atiu, Mauke czy Aitutaki ze słynną laguną. Na samej Rarotondzie mieszka natomiast 9,7 tys. osób, zatrudnionych w dużej mierze w hotelarstwie i usługach turystycznych, wyspa bowiem jest szczególnie piękna. Stanowi ona wierzchołek podmorskiej góry, dawnego wulkanu,

# Kawał Śląska nad... Renem

Problematyka niemieckich przesiedleńców ze Śląska do Niemiec na zachód od Nysy Łużyckiej i Odry przedstawiana była zawsze tylko w kontekście zagrożeń politycznych dla Polski i tylko w naczarniejszych barwach. Nie negując absolutnie istniejących wówczas napięć i wielu rewanzystowskich postulatów, nie można wszakże zapomnieć, że duża część owych niemieckich Ślązaków już dawno pogodziła się z nową rzeczywistością i niemożliwością restytucji granic sprzed 1939 r. Inaczej więc należy spojrzeć na kultywowanie przez nich starych tradycji, wspominki i nader liczne wydawnictwa. Ze często mają żal i pretensje za wysiedlenie, za krzywdy wówczas popełnione? A nie było ich? Na szczęście, wielu Niemców rozumie okoliczności i stara się skłonić do przyjaznych postaw wobec Polaków i Polski. By mogli oni to w pełni zrealizować, by spotkania na szczycie, jak niedawno między premierem Tadeuszem Mazowieckim a kanclerzem Helmutem Kohlem we Frankfurcie nad Odrą i Ślubicach nie przekształciły się w spotkania na "Moście Przyjaźni" w Zgorzelcu, musimy nawzajem lepiej się poznać.

Podróżując tedy w ubiegłym roku po RFN zapuściłem się w rejon Bonn i Kolonii. Nie mógłbym sobie wybaczyć, gdybym nie skorzystał z okazji i nie odwiedził coraz bardziej znanej placówki śląskiej tuż nad Renem. Tym bardziej, iż prowadzi ją mój dobry znajomy Klaus Ullmann. Mowa o Domu Śląskim (Haus Schlesien) w Heisterbacherrott koło Königswinter, tuż u podnóża uroczych Siebengebirge, najstarszego obszaru chronionego w Niemczech. Okolica nader interesująca: piękna przyroda, ruiny gotyckiego klasztoru, romantyczne zamczysko Drachenburg nazywane nadreńskim Neuschwanstein. A dodać do tego jeszcze trzeba możliwości przejażdżek białą flotą po Renie i Mozeli, sąsiedztwo wielu innych interesujących miejscowości.

Sam obiekt, którego frontalny widok przedstawia ilustracja, znajduje się tuż przy szosie i obej-

muje czworoboczne barokowe założenie z centralnym, malowniczym budynkiem głównym. Wewnątrz rozległy dziedziniec z okazałymi lipami, pod którymi w skwarne dni z przyjemnością można sączyć dobre piwo. Odbywają się na nim także występy zespołów amatorskich i artystów zawodowych. Część murów jest bardzo stara, gdyż obecny dwór z budynkami gospodarczymi powstał na miejscu folwarku klasztoru Schwarzhendorf, wymienionego już w 1173 r.

W latach sześćdziesiątych dr Wolfgang Schneider wysunął ideę budowy Domu Śląskiego, który miałby na celu gromadzenie ruchomych zabytków ze Śląska (a jest ich przecież w RFN niezwykle dużo) i stworzenie ośrodka kulturalno-towarzystowego dla niemieckich Ślązaków. Zawiązane zostało Towarzystwo Domu Śląskiego (Verein Haus Schlesien), które obecnie liczy nieco ponad 1600 członków. Aktywność tej organizacji sprawiła, iż w 1978 r. miasto Königswinter przekazało grunt z zapuszczonymi budynkami na ten właśnie cel. Zgromadzone środki pozwoliły więc na rozpoczęcie remontu, podjęcie przeróbek i uruchomienie placówki. Kontynuuje te prace od kilkunastu lat 66-letni dziś Klaus Ullmann, urodzony w Gliwicach, mieszkający przez wiele lat we Wrocławiu, gdzie w 1943 r. zdał maturę w znanym Gimnazjum św. Elżbiety. Wkrótce trafił do wojska i w marcu 1945 r. do radzieckiej niewoli. Po ucieczce na Pomorze dostał się z kolei do niewoli amerykańskiej i angielskiej. Ukończył studia prawnicze, otrzymał doktorat z prawa finansowego. W wieku dojrzałym podjął intensywne studia krajoznawcze nad Śląskiem, uwieńczone chętnie wykorzystywanym dziś w RFN "Schlesien-Lexikon" (5 wydań). Ta swoista popularna encyklopedia o Śląsku stanowi niedościgniony do dziś wzór dla naszych wydawnictw. A autor ma jeszcze w dorobku piękny album o Karkonoszach (własne fotografie) i przewodnik po tych górach. Można się z nimi zapoznać na wrocławskim Piasku.

A co robi się nad Renem? Dużo, nawet bardzo dużo. Zgromadzono już przede wszystkim bogatą bibliotekę, drugą obok co do wielkości zbiorów obok Stiftung Kulturwerk Schlesien w Würzburgu. Napływają stale liczne dary, robi się oczywiście własne zakupy. Katalog jest skomputeryzowany, więc nie zajmuje dużo miejsca i łatwo się nim posługiwać. Kosztem milionów już marek przebudowano część gospodarczą na salę koncertową i ekspozycyjną, zaś w pomieszczeniach solidne, nowoczesne pomieszczenia magazynowe. Wystawia się tu nie tylko zabytkowe eksponaty, ale i twórczość artystów urodzonych nawet po wojnie na Śląsku, mieszkających dziś w RFN. Niezwykle interesujące są zbiory muzealne, obejmujące malarstwo i grafikę, ceramikę, przedmioty użytkowe i wytwórczość ludową. Ponadto ośrodek posiada salę seminarijną, kącik piwoszy, sympatyczną restauracyjkę i wygodne pokoje gościnne. Dom Śląski pracuje na swoje utrzymanie, stąd gości nie tylko seminaria czy konferencje związane tematycznie ze Śląskiem, ale stoi do dyspozycji wszystkich chętnych. Starzy Ślązacy, nie tylko jednak oni, organizują tu swoje spotkania rodzinne czy koleżeńskie - oczywiście odpłatnie. Niemniej atmosfera jest bardzo miła.

Kuźnia rewanżizmu? Dr Ullmann odcina się od działalności politycznej. Jemu chodzi już tylko o pielęgnowanie wspomnień, zachowanie tradycji i pamiątek ze Śląska, spotkanie się we własnym gronie, popieranie twórczości młodych urodzonych na Śląsku lub z nim związanych. Pewnie, są tacy, którzy chcieliby powrotu Niemiec nad Odrę. Ja jednakże, choć tyle czasu spędziłem w RFN i w Domu Śląskim, nie spotkałem takich. Co wcale nie oznacza, iż nie dyskutowaliśmy czasami bardzo ostro o wzajemnych stosunkach historycznych. Co innego wszakże dyskusja, co innego chęć odwetu. Sytuacja na tyle się odmieniła, iż Polacy dziś nad Renem nie są przyjmowani wrogo. Wręcz przeciwnie - jeśli tylko są miłośnikami Śląska, zostaną przyjęci wręcz przyjaźnie. Skorzystajmy z tego, bo takiego ośrodka pracy krajoznawczej (jakim w istocie jest Dom Śląski) u siebie nie mamy. Warto podpatrzeć, jak to robią inni, w dodatku w odniesieniu do tego samego regionu.

Krzysztof R. Mazurski

jakich wiele na Pacyfiku, kulminując 660 m w szczycie Te Rua Manga nad powierzchnią oceanu. Ten górzisty charakter stanowi o szczególnej malowniczości krajobrazu, niezwykle kontrastowego wobec błękitnych mórz, oblewających ów skrawek lądu ze wszystkich stron. Dookoła ciągnie się rafa, tworząca od południa rozległe płycizny, raj dla turystów i miłośników podwodnej przyrody. W takich to miejscach prowadzi się hodowlę perłopławów, w tym dających czarne perły. Szczególnie duża ich "ferma" znajduje się na Manihiki.

Co można robić na Wyspach Cooka poza leniuchowaniem i zagłębianiem się w tajemnice morza? Do szczególnych atrakcji zaliczane są kilkugodzinne wycieczki przez pokryte dzunglą góry Rarotongi. Wygodniejsi mogą wynająć samochód, motocykl czy rower. Największych przeżyć dostarczą osiągnięcie Iglicy - bazytowego stożka na najwyższym szczycie. Wspaniała forma geologiczna, dookólne widoki na wyspę i bezmierny ocean. W pobliżu znajduje się jedyny w całym archipelagu wodospad, prezentujący się barwnie wśród egzotycznej roślinności. A dla miłośników egzotyki, nastroju festynów i pełnego luzu godne polecenia są liczne uroczystości, zarówno oficjalne, jak i religijne. Stanowią one dobrą okazję do tańców,

śpiewów czy degustacji kulinarnych. Nie brakuje ich na wyspach. Kto wszakże szuka samotności, może łatwo wyostać się jachtem lub wynajętymi łodziami poza ludzki krąg i popłynąć na piknik na jedną z niezamieszkałych wysp.

Nie wszyscy świętują. Miejscowi, poza obsługą turystów, zajmują się rybołówstwem, połowami perel czy inną działalnością gospodarczą. Właśnie na Rarotondze ma siedzibę duże przedsiębiorstwo handlowo-transportowe TRIAD Group. Życie jest łatwiejsze i przyjemniejsze niż w Europie. Ale też nie problemów granicznych, politycznych. Wyspy Cooka są przecież autonomicznym terytorium, stowarzyszonym z Nową Zelandią. Kraj ten reprezentuje je w polityce zagranicznej i obronnej. Rząd jest jest zaledwie trzyosobowy, obejmując w tym Ministerstwo Turystyki. Ponadto rezyduje tu w imieniu Korony Brytyjskiej i rządu Nowej Zelandii wysoki komisarz. Istny raj!

Daleko? No tak. Ale może ktoś się zdecyduje. Jeśli tak, to służymy kontaktami!

W opracowaniu wykorzystano m.in. materiały Cook Islands Tourist Authority Offices.

Krzysztof R. Mazurski  
Dominik Mazurski



Posel szwedzki Sinclair i jego towarzysze podróży Couturier zostają rozpoznani we Wrocławiu. Ratują się szybkim wyjazdem do Brandenburskiej, lecz pod Zieloną Górą doganiają ich dragoni i rosyjscy oficerowie. Zbliża się wieczór. Co nastąpiło potem?

## MORD NAD BOBREM (2)

Czterech dragonów otoczyło dylżans, a Kuttler nakazał poczytliłowi zatrzymać się. Wytwornie pozdrowił Sinclaire'a i zapytał go o nazwisko. Po jego wymienieniu oświadczył, iż zmuszony jest prosić o powrót, bo choć przekonał się, że nie są oni zbójcami drogowymi (co było oczywiście pretekstem), to musi spełnić otrzymane rozkazy. Nie chciał wszakże wyjaśnić, o co konkretnie w nich chodzi. Pod eskortą więc wrócono do Suchoj, gdzie uzyskano na zapytanie Kuttlera informację o najbliższej saskiej stacji granicznej. Były to Krzystkowie, na lewym brzegu Bobru, a więc w bok od trasy na Zieloną Górę. Tam a więc w bok od trasy na Zieloną Górę. Tam też nakazano jechać, choć Couturier protestował powołując się na paszport wystawiony przez konsula w Konstantynopolu. Jedyne reakcją dowódcy grupy to uśmiech i wzruszenie ramion. Odebrano broń i pilnie strzeżono obu podróżnych. Zapadł zmierzch, pomiędzy rozległymi lasami dojechano do wrzosowiska, skąd było już widać na dalekim widnokręgu wieżę Nowogrodu, leżącego naprzeciw Krzystkowie, na prawym brzegu Bobru. Tu Kuttler nakazał postój, a sam z poczytliłem pojechał do miasteczka. Spotkany przed nim rolnik wyjaśnił, że nie ma tu posterunku granicznego i że Bóbr można przekraczać mostem przez całą dobę. To mu wystarczyło. Wrócił do pojmanych ostro ich przesłuchując, a przeszkukując dylżans wyciągnął kufer i worek podróżny. Indagowany przezeń Couturier wyjaśnił, że nie wie o Sinclaire'ze, w towarzystwie którego podróżuje li tylko dla przyjemności i w interesach kupieckich w ogóle, znajdując go szlachetnym kawalerem i przyjemnym towarzyszem wędrowki. Kuttler chyba w to uwierzył, gdyż odparł: mógł Pan sobie wybrać inne towarzystwo. Ja Pana uważam za uczciwego człowieka, ale ten jest niebezpiecznym szpiegiem.

Porozmawiawszy z Lewickim w języku polskim przystąpili obaj oficerowie do przeszukania kufru Sinclaire'a, który zanieślono około 20 kroków dalej w zagajnik. W tym czasie zdołał po eichu szepnąć Francuzowi: Pana wnet uwolnią, kochany Couturier, ale mój powrót do Sztokholmu będzie już niemożliwy. Proszę mi przyrzec, ponieważ pańska droga tam prowadzi, że wyświadczy mi Pan tę przysługę przyjacielską rozgłaszając wszędzie, że w żaden sposób nie jestem winien temu nieszczęściu.

Rychło przegląd kufru został zakończony i Lewicki przyszedł po majora, by był świadkiem zamknięcia bagażu. Pozostali dragoni grzebali w worku Couturiera, który im zresztą w tym

pomagał. Nagle coś błysnęło w pobliskim zagajniku, rozległ się strzał i zapadła głucha leśna cisza. Wystraszeni poczytlił i Francuz spojrzeli w tamtą stronę, ujrzeni podskoki Sinclaire'a z zabrozoną kamizelką i boleśnie wykrzywną twarzą. Doszły też do nich ostatnie słowa Szweda: Mon Dieu! Jezus! Mon Dieu!, które wypełniły ich dreszczem i przerażeniem. Potem jakieś głuche uderzenie, jakby pałaszem, parę słów Lewickiego i znów cisza. Kupiec był bliski rozpacz widząc wracających Kuttlera i Lewickiego. Gdzie jest Sinclair? - zapytał barona. Ten odpowiedział po łacinie wiedząc, iż Couturier nie zna przecież polskiego: Nie bój się! Byłby to grzech przeciw Duchowi Świętemu wyrządzić jako uczciwemu człowiekowi jakąś krzywdę. Tamten ma swoją zapłatę, był wrogiem panującego, a taki jest wrogiem Boga. Nie uważam, że zgrzeszyłem zabijając go.

Ściemniło się już całkiem. Kuttler dosiadł konia, zaś zasłabłego Couturiera wsadzono do dylżansu. Towarzyszył mu Lewicki. Przejeżdżając koło miejsca morderstwa Francuzowi strach zjeżył włosy, gdyż usłyszał cichy jęk swego towarzysza. A więc żył jeszcze! Kuttler wrzasnął: Jedźcie tam i wykończcie bestię! Dwóch dragonów oddaliło się, by spełnić ten rozkaz. Znowu padł strzał, znów było słychać razy i wreszcie, wykończony po katowsku, posel legł martwy.

Francuz ocknął się dopiero w Krzystkowie, nie ukrywając odrazy do morderców. A to wzbudziło obawę w Rosjanach, więc zagrozili mu: niech się Pan nie odważy odezwać słowem o tym. Choć Pan nam umknie, widział Pan, że potrafimy znaleźć tych, których szukamy.

Oficerowie starali się uciszyć obu świadków, Couturiera i poczytliłona Kallenbacha, powtarzając, że zabity sam winien swojej śmierci, że był zbrodniarzem, który dawno na nią zasłużył. Lewicki nie wahał się nawet skłamać, że Sinclair do niego strzelał. Poczytliłona z pomocnikiem w końcu odesłano do Nowego Miasteczka polecając przekazać zarządcy poczty, iż znaleziono prawdziwego, natomiast ekipa siepaczy skierowała się przez Żary do Drezna, zabierając siłą Francuza. Kilka godzin przed tym miastem zatrzymano się w przydrożnej gospodzie i zaczęto grzebać w kufrach. Obok wymienionych poprzednio listów znaleziono dodatkowo list sultana do króla szwedzkiego. Na ten widok Kuttler radośnie wykrzyknął: O, list sultana! Ten jest wart 10 000 rubli, a ja go sprzedam za 100 tys. Rosjanie zabrali całą zawartość, w tym i kosztowności. Napisano stąd do hr. Schaffgotscha, że szczęśliwie tyle znalazł, ile się nie spodziewał, lecz okoliczności zmusiły go do pewnych wykroczeń, których żałuje. Szerzej jednak ich nie wyjaśni. Do Drezna przyjechali 19 czerwca. Zmienili stroje na niemieckie, pozbyli się odzieży Sinclaire'a i następnego dnia pojechali do twierdzy Sonnestein, gdzie zatrzymali Couturiera w ścisłym areszcie do 15 sierpnia. Wszystko po to, by móc spokojnie wrócić do Rosji.

O sprawie długo nikt nie wiedział, a redaktorzy bali się o niej pisać. Dopiero 25 i 28 lipca ukazały się pierwsze informacje w gazetach berlińskich, podjęte przez prasę ratybońską i dalszą. Zaczęło w Europie

szumieć w salonach, placach i w prasie. Ludzie zdumiewali się tym, iż uczciwy Sinclair przejechał z Turcji tyle pustkowi bez przeszkód, a zabity został w "cywilizowanym" kraju, rządzonej przez cesarza, na wolnej drodze, w cesarskiej poczcie. Odrząz pozwał nawet młody król pruski, późniejszy Fryderyk II, który i sam przecież rządził podobnymi metodami. Dwór petersburski zmuszony się poczul wysłać poprzez swego drezdeńskiego posła von Kaiserlingka, generalnego radcy Saksonii Bockla, który w twierdzy wypyttywał Couturiera o jego powiązania z Sinclairem. Po zaprzysiężeniu ich zwolniono Francuza, ale ten, pomny złożonego przyrzeczenia, wyruszył natychmiast do Szwecji. W Sztokholmie 25 września złożył dokładne sprawozdanie, które stało się podstawą do ostrej interwencji w Wiedniu i Petersburgu w sprawie ciężkiego naruszenia prawa międzynarodowego z żądaniem wszczęcia śledztwa i ukarania zbrodniarzy. Chcąc nie chcąc Austriacy polecieli podjęcie kroków śledczych Urzędowi Wyższemu we Wrocławiu, który zjechał do Nowego Miasteczka i 8 października, w obecności delegacji szwedzkiej, urzędnika publicznego Antoniego von Groninga i majora Friese ze Straisundu (urodzonego we Wrocławiu, nota bene), przeprowadził rozprawę. Ustalono, że zeznania Couturiera są w pełni wiarygodne, a więc m.in. to, że sprawcami mordu są Rosjanie. Ministerium petersburskie było jednak na tyle bezczelne, że rozesłało po wszystkich dworach europejskich okólnik, że Rosja w niczym się nie przyczyniła do napadu i nie ma z nim nic wspólnego, że wątpli w udział rosyjskich oficerów, że uczyni wszystko dla ujęcia sprawców. Niemniej jednak potem twierdziło ono, iż od tego czasu nigdy już nie widziano Kuttlera i Lewickiego. Ciekawe wszakże, że mniej więcej w tym czasie do urzędu pocztowego w Hamburgu nadeszła duża torba, skierowana dalej do Sztokholmu. Zawierała ona wszystkie zrabowane Sinclaire'owi listy państwowe i prywatne (z wyjątkiem sultańskiego z planem wojny), które otwarto i ponownie zapieczętowano. Ale brakowało cenniejszych rzeczy. A więc sprzedaż lupów chyba się udała.

Szwecja nie dała się zwozić zapewnieniom Rosji i 24 lipca 1741r. wypowiedziała jej wojnę z uzasadnieniem: Rosja od czasu pokoju w Nystad nie dochowała ani umów, ani prawa międzynarodowego. Między dowodami tego było r.in. stwierdzenie: rząd rosyjski spowodował zamierzone morderstwo wiernego szwedzkiego poddanego, majora Sinclaire'a, gdy ten podróżował zaopatrzonej w paszporty swego dworu i państwa, i zrabował mu posiadane listy i pisma dotyczące spraw państwowych. Niestety, sprawiedliwości nie stało się zadość, gdyż wkrótce Szwecja wojnę przegrała. Sama sprawa zaś popadła w niepamięć. A nie byłoby jej w ogóle, gdyby wysłani za Sinclairem oficerowie nie zlekceważyli świadków morderstwa. Być może zresztą dlatego też więcej o nich nikt nie słyszał. Szefowie służb specjalnych nie lubią fuszerki i afiszowania się swoją robotą.

Thumaczenie: Ludwika Panster i  
Krzysztof R. Mazurski (z opracowaniem)

## Rozmyślania na szlaku (7)

Miało już nie być "Rozmyślań na szlaku", jednakże życie dostarcza tylu tematów, że nie zdzierzyłem.

Jak zauważył jeden z filozofów, dwie rzeczy na świecie są nieograniczone: łaska boska i głupota ludzka. Ponieważ do interpretacji tego pierwszego twierdzenia nie czuję się powołany, zajmę się drugim. Wydawać by się mogło, że wszelkie możliwe głupoty zostały już popelnione, jednakże życie potwierdza tych głupot nieskończoność. Żeby nie być gołosłownym, to coś z życia petetkowskiego.

Otóż, chyba absolwenci Alma Mater Tvorcoviensis wydumali, żeby sprzedać cały majątek Towarzystwa, a uzyskane pieniądze przeznaczyć na grę giełdową. Nikt rozsądny nie wpadł na taką genialną myśl. Ostatnio wielu zapalało nieodwzajemnioną miłością do Ziemi Utraconych, gdyż jest to najnowszy krzyk mody. Ponieważ i ja jestem poniekąd związany z tymi ziemiami, więc aby dolożyć i swoją część sentymentu, pomysłodawców gry giełdowej nazwałbym absolwentami Alma Mater Culparcoviensis.

Ale teraz na poważnie. Jak można mówić o jakiegokolwiek przyszości Towarzystwa, jeżeli we władzach są tego typu ludzie, którzy za społeczne pieniądze chcieliby zrealizować swoje prywatne zachcianki. Zresztą, jak już zauważyłem w jednej z poprzednich wypowiedzi, Zarząd Główny zawsze maszerował w czołówce przemian i pilnie wykonywał wszelkie nowinkarskie pomysły, pod warunkiem, że płynęły one od góry. Może by chociaż raz

uczynił to z pożytkiem dla PTTK i w ramach przyspieszenia zwołał nadzwyczajny Zjazd, który wreszcie wybrałby Zarząd poważnie traktujący swoje dobrowolnie przyjęte obowiązki. Może wreszcie skończyłyby się wszelkie OZGT-y i inne instytucje zderające wszystkie środki Towarzystwa. Może wreszcie o Towarzystwie decydowałby Zarząd Główny, a nie urzędnicy z biura tego Zarządu? Ale chyba nie z tego nie wyjdzie. Wszelkie koterie, spółki czy fundacje żerujące na Towarzystwie nie dopuszczają do tego i w rezultacie pozostanie tylko rozpad PTTK.

To były odgórne pomysły. Są także i lokalne. Istnieje Solidarność Polsko-Czechosłowacka. Nie wiem, jakie cele i kompetencje ma ta organizacja, ale jej działacze wpadli również na genialny pomysł. Otóż wykombinowali, aby zamknąć niektóre szlaki w Karkonoszach. Poruszanie się po nich możliwe byłoby tylko w zorganizowanych grupach pod wodzą licencjonowanych przewodników. Wśród sygnatariuszy tego "porozumienia" figurują z polskiej strony między innymi: przewodniczący samorządu w Karpaczu, a jednocześnie kierownik szkoły przewodnickiej w tymże mieście, pan Pokój, i co najdziwniejsze, jako przedstawiciele PTTK, przewodnicy i przodownicy turystyki górskiej. Koledzy: Siemaszko (honorowyl) i Kędzióra. Nie wiem, kto im dał pełnomocnictwa do podpisywania takiego zobowiązania. A wracając do szlaków, to mają być zamknięte: zielony przez Śnieżne Kotły, niebieski od Koziego Mostu do samotni i czerwony

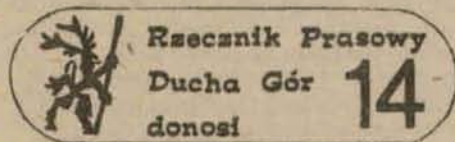
z doliny Łomnickiej do Śląskiego Domu. Jak z tego wynika, kierownikowi "Samotni" nie zależy na turystach, skoro podpisał się pod zamknięciem szlaku do tego schroniska. A może odchodzi ze schroniska? Widocznie w ten sposób zlikwiduje się deficyt. A może by zamknąć szlaki do wszystkich schronisk? Mieliśmyby rozwiązaną sprawę raz na zawsze i zwolniony gry giełdowej mieliby upragnioną gotówkę.

Jak wspominałem, grupy turyści w prowadziliby licencjonowani przewodnicy, oczywiście za odpowiednią opłatą, wpadającą do ich kieszeni. I tu wylazło sztydo z worka. Nie chodzi wcale o rzekomą ochronę środowiska przed nadmiernym dewastowaniem, a o zwykłe, prozaiczne pieniądze. Ciekawe, kto wydałby licencje przewodnikom i kto by im błogosławił na nowej drodze - przepraszam, na prywatnych szlakach. I tak prywatyzacja wkracza w góry.

Ja ze swej strony proponuję, aby zamknąć w Karpaczu wszystkie ulice prowadzące do "Orlinka" i do dolnej stacji wyciągu. Dojazd i dojeżdżenie do tych obiektów tylko z licencjonowanym przewodnikiem, który inkasowałby tyle, ile trzeba na własne potrzeby. A w Karkonoszach można jeszcze zamknąć szlak czarny od górnej stacji wyciągu do Śląskiego Domu. Tu niektórzy mieliby kokosy prowadząc "wahadła". Dla mnie za pomysł 106 wpływów.

A tak na marginesie całej sprawy. Działacze "Solidarności" zarzucali władzom PRL ograniczanie swobód obywatelskich, a to co robią działacze Solidarności Polsko-Czechosłowackiej to niby co? Rozszerzanie swobód, jeżeli obywatel RP nie może bez opieki (bezpieki?) poruszać się po własnym kraju? Chyba, że jest to inna Solidarność.

Zbigniew Garbuczewski



### Bisurmanie na horyzoncie

Realne możliwości najazdu na ziemię Śląską tureckich bisurmanów pojawiały się w przeszłości kilkakrotnie. Jednak najgroźniejszy i bodajże najbardziej prawdopodobny stał się on z początkiem lat osiemdziesiątych XVII wieku. Kiedy zaś latem 1683 roku niezliczone wojska Czarnego Mustafy stały pod murami habsburskiego, stołecznego Wiednia, a siły cesarskie zdawały się być zbyt szczupłe i za bardzo wystraszone, aby móc dać najeźdźcom skuteczną odprawę, niebezpieczeństwem tureckim poważnie zaniepokoił się, wraz ze wszystkimi mieszkańcami Śląska, także sudecki Duch Gór, zaniepokoił się liczni duchowi poddani.

Cóż zatem dziwnego, że przygnębiony karkonoski pan siadał nie jeden raz na południowym stoku Śnieżki i wpatrywał się bystrym, sokolim wzrokiem w daleki horyzont. Dłuższy zaś czas zabijał powolnym chrupaniem karkonoskiego serka, pachnącego surowym górskim powietrzem, a w smaku przypominającego aromat ziół i traw wysokogórskich łąk. Podsuszony, chrupiący serek przywoził mu na myśl dźwięczenie przywiązanych do kozich szyj dzwonczków. Spore gromadki tych poczciwych zwierząt pasły się bowiem po sudeckich halach i lasach, po przyehaciach.

Ponieważ jednak ze Śnieżki Duch niewiele mógł dojrzeć, częściej odwiedzał teraz swego, również zatroskanego, wysokiego lennika, jesienickiego Pradziada. W drugiej połowie sierpnia - kiedy sytuacja stała się krytyczna - zagościł u niego nawet przez parę tygodni. Obaj władcy gór przenieśli się teraz na wyniosły szczyt Słunehey (800 m n.p.m.) położonej w pobliżu miejscowości Dworzec, i oczekiwali tutaj na przemarsz wojsk Jana III Sobieskiego, polskiego króla, ponoć spieszącego na odsiecz obleganemu Wiedniowi.

I rzeczywiście, 25 sierpnia, po dziesięciodniowym marszu, armia polska przez Będzin, Piekary, Tarnowskie Góry, Gliwice, Racibórz i Krzanowice dotarła do Opawy, a stąd przez morawski Dworzec i Olomuniec ruszyła jak nawałnica na Wiedeń. A czas już naprawdę naglił!

Po obejrzeniu karnych i sprawnych oddziałów polskich Duch Gór i Pradziad poczuli się od razu znacznie pewniej i różniej, uwierzyli w możliwości ratunku. Udali się zatem do jednej z opawskich oberż - oczywiście w ludzkim przebraniu, gdzie oczekiwali z niecierpliwością na pomyślnie wieści z pola bitwy.

I wkrótce doczekali się ich: 12 września 1683 r. sprzymierzone wojska pod wodzą walecznego króla Jana przepędziły spod cesarskiej stolicy armię Kara Mustafy. Przepędziły ad maiorem Dei gloriam, ad maximam Poloniae gloriam.

Odetchnęła Austria cała. Ehre sei Gott! Chwała Bogu! Odetchnął wraz z nią Śląsk, odetchnęli karczemni współbiedniacy, przeważnie dalecy potomkowie śląskiego plemienia Gołszyców, zwących się teraz Lachami. Odetchnęli i Pradziad, i

Duch Gór, który powrócił spokojnie do swych karkonoskich pieleszy.

Mężni Polacy raz jeszcze uratowali chrześcijańską Europę. Uplętno jednak niewiele ponad sto lat, a państwo nasze zniknęło z mapy świata. I nikt go nie ratował. O historyczny paradoks! Ale z pewnością nie była to żadna zemsta Allacha, sami Turcy przecież nigdy nie uznali rozbiorów zgnuszałej Rzeczypospolitej. Kraje zachodnie natomiast siedziały raczej cicho i jak zwykle zachowywały jedynie pozory.

Monarchowie europejscy mieli zresztą wtedy na swych koronowanych głowach znacznie ważniejszą sprawę: rewolucję francuską i jej jakże zaraźliwe oddziaływanie na własnych poddanych, przynajmniej na ich sporą część. Cóż więc jakas tam Polska, szkoda jej, to prawda, ale... Właśnie w tym czasie nawet jeden z poważnych mężów stanu rewolucji - opat Sieyes otwarcie przyznawał: Les principes sont bons pour l'école, les états se gouvernent selon leurs intérêts. I chyba miał rację. Szkoda tylko, że z reguły nie pojmują tego nasi zapatrzeni na Zachód przywódcy.

Julian Janczak

Tekst powyższy jest fragmentem nowej książki rzecznika prasowego Ducha Gór, przygotowywanej do druku przez oficynę wydawniczą Regionalnego Ośrodka Programowego PTTK we Wrocławiu. Książka niebawem znajdzie się w sprzedaży. Zachęcamy do jej przeczytania.

# Z "RZEPIÓREM" W KRUCZYCH SKAŁACH

(Dwadzieścia pięć lat Koła Przewodników Sudeckich i Terenowych "Rzepiór")

Przepiękne trzy dni złotej jesieni październikowej, przewodnicy RZEPIÓRA i ich sympatycy czyli "Osoby Specjalnie Nam Mile", spędzili, na zaproszenie Ducha Gór w Karkonoszach, w Karpaczu. Pojechano autobusem PR 110 wypożyczonym z PKO. Za kierownicą królował wspaniały pan Czesław. Główną kwatery założono w DW MIESZKO II (dla wygody, wszędzie blisko), podratowując też w ten sposób upadające, niegdyś niewzruszone struktury Funduszu Wczasów Pracowniczych. Była nawet następująca refleksja: czas najwyższy opisać model odpoczynku, krajoznawstwa i turystyki lansowany od 1949 roku przez FWP, w którym to działaniu niemal rolę odegrali przewodnicy. Wiele piosenek z W. Młynarskiego: "Jesteśmy na wczasach, w tych góralskich lasach..." są wciąż pozostałością takiego stanu rzeczy. I oto, na przełomie epok, również kształtujący nowy model turystyki i krajoznawstwa, a także model turystyki szkolnej, Koło Przewodników Sudeckich i Terenowych RZEPIÓR z wrocławskiego oddziału PTTK "Śródmieście" obchodzi swoje dwudziestopięcioletnie.

Zawsze około połowy członków Koła stanowili nauczyciele, tak więc rzepiórowcy mieli jakiś wpływ na kształt turystyki szkolnej, choć przecież w minimalnym zakresie, biorąc pod uwagę masowość zjawiska. W każdym razie RZEPIÓR chciał od początku modelować sylwetkę przewodniko-nauczyciela, światłego krajoznawcy. Ponieważ wszystko się zmienia, zmieniły się i warunki w jakich przychodzi organizować i budować nową zupełnie turystykę szkolną. Może teraz poprzez klasy o specjalności turystyczno-krajoznawczej, jak np. w V LO we Wrocławiu, co zostało zapoczątkowane w roku szkolnym 1990/1991 przez rzepiórowca S. Mizię.

Czerwone swetry i błyszczące blachy przewodnickie zdominowały centrum Karpacza na kilkadziesiąt godzin. Rozpoczęto jubileusz od seansu przełroczny karpackiego przewodnika Antoniego Witczaka, który bez zająknięcia, przez półtorej godziny objaśniał jedenastce kaset wyborczych przełroczy. Okazuje się, że pasja w rozumowo wybranym kierunku potrafi uczynić zajęcie amatorskie zajęciem na poły profesjonalnym, rzetelnie perfekcyjnym. Tacy potrafią być przewodnicy, ale też chyba takimi powinni być wszyscy. Błąka się bowiem gdzieś zaszykana sentencja, że "przewodnictwo to więcej niż zawód".

Tadeusz Stefański, szef przewodników polskich, zabierając głos w czasie uroczystości jubileuszowych, powiedział, iż rzepiórowcy stworzyli i tworzą nadal model przewodnictwa intelektualnego, tak się bowiem składa, że w jednym, czterdziesto-osobowym Kole znajduje się np. prawie cała redakcja "Śląskiego Labiryntu Krajoznawczego", jedyne tego rodzaju czasopisma wydawanego w PTTK. Rzecznikiem prasowym Ducha Gór, publikującym na łamach dwumiesięcznika ZW PTTK we Wrocławiu "Na Szlaku" jest prof. dr hab. Julian Janczak, a biblioteczką prac własnych KAEREMA(KRM), czyli Krzysztofa Radostawa Mazurskiego, wiceprzewodniczącego ZG PTTK, też rzepiórowca, liczy kilka półek!

Koło przewodników RZEPIÓR powstało w 1965 roku. Zakładali je z ramienia ówczesnej Komisji Przewodników Zarządu Okręgu PTTK we Wrocławiu nieżyjący już kol. Bogna Świątkowska i działający do dziś ( zdaje się za aprobatą Ducha Gór) obecny w Karpaczu kol. Czesław Cetwiński.

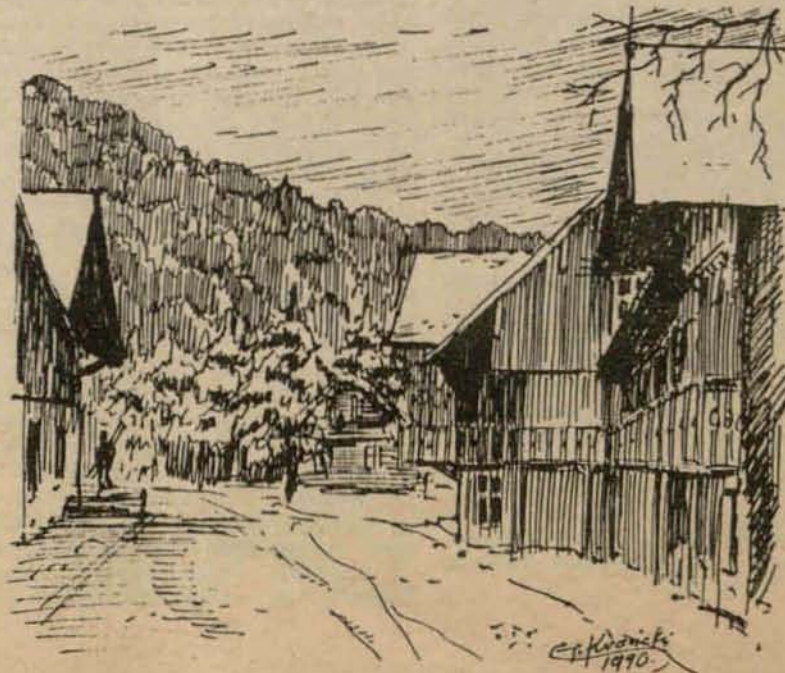
Pomysł na utworzenie Koła miał kol. Andrzej Szantyr, wtedy prezes oddziału PTTK przy Zarządzie Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Pierwszym kierownikiem kursu przewodników terenowych został nieżyjący już kol. Włodzimierz Koszarski, geograf, metodyk, znany wielu pokoleniom Wrocławia, szczególnie uczniom IX LO, autor pożytecznych opracowań krajoznawczych. Jedenaście kadencji zarządów Koła to jedenaście wyborów prezesów. Co prawda, swego czasu przyjęto w zarządzie RZEPIÓRA zasadę: "Tres faciant collegium", ale osobowość prezesa, co by nie mówić, odgrywa i powinna odgrywać znaczną rolę w budowaniu oblicza Koła. Kolejno prezesami ( niektórzy kilkakrotnie) byli: nieżyjący kol. Henryk Zamuliński oraz kol. Alfreda Michalowska, kol. Andrzej Rumiński, kol. Irena Tokarska, kol. Jerzy Komorowski i aktualnie panująca niepodzielnie dr Barbara Kopydłowska. I to jak!

W Kruczych Skalach, na telefoniczne (!) polecenie Rzepióra, zgromadzili się w pieczarze pegmatytowej ci wszyscy, którzy chcieli zobaczyć, jak się otrzymuje w warunkach polowych blachę przewodnicką. Tym razem otrzymał ją Rzecznik Prasowy Ducha Gór kol. Julian Janczak. Przy okazji postanowiono, że każda następna blacha w RZEPIÓRZE będzie wręczana wyłącznie "w terenie". Do Jamy Rzepióra prócz rzepiórowców weszli też: kol. T. Stefański z ZG PTTK, przedstawiciele ZW PTTK we Wrocławiu z prezesem Bronisławem Zatheyem, niegdyś rzepiórowcem, Andrzej Konarski z Komisji Przewodników, Czesław Cetwiński, Stanisław Dziuba, przedstawiciel zarządu macierzystego Oddziału PTTK. Wyjście było, jak zawsze u przewodników, dwuwariantowe. Część wybrała się kominkiem zapadliskowym i .. fotografa przy tym nie było. A szkoda! Objazd zakątków Karkonoszy, pod przewodnictwem Antoniego Witczaka (ni mniej ni więcej równo 100 km), przy wspaniałej widoczności wszelakich grup górskich otaczających Kotlinę Jeleniogórską, zakończył przedpołudniową część jubileuszu. Po obiedzie, bez przykrości, z zainteresowaniem słuchano części orderowo-nagrodowo-wspominkowej, delektując się przy okazji wspaniałymi ciastami upieczonymi przez znakomite Koleżanki Przewodniczki z Krystyną Świtelską na czele. Wspomniano na początku

zmarłych Kolegów, wymienionych już poprzednio, oraz Stanisława Misztygacza i Piotra Szymłowskiego. Temu ostatniemu nazajutrz zapalono światełka na symbolicznym cmentarzu "Ofiarom Gór", w Kotle Łomnicki, przy tablicy, którą umieszczono tam 10 sierpnia 1989 roku, w dziesiątą rocznicę tragicznej śmierci Piotra. Patos, powaga, serdeczny namysł, szczerze słowa, to wszystko przyjmowano z uwagą. Także serdeczne życzenia, nawet wierszowane od kol. Stefana Rowińskiego (KPTIS przy Inst. PAN). Było też szczególnie miło, że przybył, dosłownie na chwilę, szef Szkoły Górskiej Przewodnictwa w Karpaczu kol. Jerzy Pokój, szalenie zaabsorbowany sprawami wagi najpoważniejszej, ponieważ pełnił zaszczytną i jakże trudną funkcję przewodniczącego Rady Miasta i Gminy Karpacz. Moc prezentów, kwiaty, dziesiątki pocałunków, to wszystko było wstępną przygrywką do ... dansingu przewodników w kawiarni MIESZKO I. Tak, tak. Okazało się, że na parkiecie niektórzy z przewodników są znacznie sprawniejsi niż w robocie przewodnickiej (!), ale też okazało się, że wybitne tuzy krajoznawstwa i przewodnictwa PTTK, także Koleżanki Przewodniczki, pokazywali nie tylko ostre pazury (głównie przewodniczki) ale i demonstrowali nie lada jakie talenty taneczne. "Białe rózy" i piękne oczy Maryli, czy może Krysi, Basi, Zosi utkwiły w pamięci, jak to u rzepiórowców bywa, może nawet na zawsze. Skoro świt, w niedzielę wyruszone na kilkugodzinne spaceru krajoznawcze. Między innymi do kaplicy Św. Anny i wypływającego tamże Źródła Miłości. Kilka osób z powodzeniem zaliczyło próbę siedmiokrotnego okrażenia z wodą w ustach kapliczki. Z zadowoleniem zauważono postęp robót przy odbudowie dawnej leśniczówki-gospody w ramach "Fundacji Świętego Brata Alberta".

Zakończył się kolejny dzień pracy koła przewodników, których symbolem jest sylwetka Ducha Gór wg rysunku z mapy Helwiga z XVI wieku. Powrót do domu, szlakiem praocjów przez Kowary, Przełęcz Kowarską, Kamienną Górę, Dobromierz, Świdnicę poświęcono utrwaleniu wspomnień minionych lat, godzin i chwil. W końcu przewodnikom też należą się i takie momenty w ich jednak mozolnym trudzie pokazywania piękna kraju ojczystego, kiedy realizuje się stara zasada ideologa krajoznawstwa polskiego Aleksandra Janowskiego: "Przez poznanie do umiłowania kraju".

J. Komorowski



# Słęża na fotografii

Słęża w odległej przeszłości była miejscem obrzędów religijnych związanych z kultem Słońca. W wyobraźni ludów starożytnych góra stanowiła punkt zetknięcia się nieba z Ziemią, uderzające zaś w wierzchołek jej pionury sugerowały istnienia tam siedziby bóstwa. Dlatego też na najwyższych szczytach masywu (Słęża, Radunia, Wieżca) wydzielono święte okręgi przy pomocy kamiennych wałów (ok. 1300 p.n.e.), których pozostałości są do dziś w tych miejscach widoczne. Rozpowszechniający się w tym czasie zwyczaj palenia ciał zmarłych był wyrazem wiary w oczyszczającą moc ognia, a następnie możliwość zjednoczenia się - po spaleniu - z Bogiem Słońcem. We wczesnej epoce żelaza (ok. 650 p.n.e.) powstały kamienne rzeźby: dwa "niedźwiedzie", "postać z rybą", "mniech" i "grzyb" oznaczone głęboko wyrzeźbionymi ukośnymi krzyżami, które u ludów starożytnych symbolizowały Słońce. Takie same znaki znajdują się w różnych miejscach na Słęży, m. in. przy jednej z najstarszych dróg prowadzących na szczyt.

Funkcjonowanie ośrodka kultowego na Słęży jest poświadczane m. in. przez biskupa Thietmara z Merseburga (1017 r.): "...owa góra wielkiej doznawała czci u swoich mieszkańców z powodu swego ogromu oraz przeznaczenia, jako że odprawiają na niej przekłete pogańskie obrzędy".

W miarę postępu chrystianizacji stopniowo zacierala się rola Słęży jako ośrodka kultowego.

Sporządzeni (ok. poł. XII w.) i osiedleni na Słęży, a potem w Górcie i Sobótce oo. augustianie zwalczali przejawy kultu pogańskiego. Mimo to echa tradycji kultowej związanej ze Słężą przetrwały do XIX, a nawet do XX w. Tajemnicza przeszłość Słęży wpłynęła na zainteresowanie się nią przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych, jak archeologia, historia, geografia, botanika, zoologia, skupiła też grono miłośników, współczesnych "czcicieli" w Towarzystwie Miłośników Ziemi Słężańskiej. Dwóch zwłaszcza, wybitnych działaczy w postaciach nie żyjącego już Stanisława Dunajewskiego (opiekun zabytków z legitymacją nr 1) i mieszkającego obecnie w Oławie Franciszka Nowackiego, przyczyniło się do szerokiego propagowania historii Słęży i najbliższego regionu. Dla chwały Słęży od 1957 r. odbywały się coroczne obchody "Dni Słęży" przypadające na okres zrównania dnia z nocą (21-24 czerwca). Do tradycji obchodów należał m. in. nocny rajd PTTK na Słężę.

Obecnie spadkobierczynią TMZŚI, jest działająca w regionie słężańskim Komisja Opieki nad Zabytkami. Również Komisja Opieki nad Zabytkami Oddziału Wrocławskiego PTTK czyni starania o utrwalenie i propagowanie wiedzy o tym nader ciekawym, a tak bliskim Wrocławiu zakątku Dolnego Śląska.

W minionym roku z inicjatywy Komisji, przy współpracy z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków we Wrocławiu, Wojewódzkim Ośrodkiem Archeologiczno-Konserwatorskim, Muzeum Archeologicznym we Wrocławiu oraz Urzędem Miasta i Gminy w Sobótce przeprowadzono w okresie od 15 marca do 7 listopada konkurs fotograficzny pn. "Zabytki Masywu Słężańskiego".

Plonem konkursu było 81 prac 4 autorów. Laureatami zostali Bolesław Bielec z Wrocławia (I nagroda), Piotr Wrana z Lubina (II nagroda) i Jerzy Kosiński z Lubina (III nagroda). Wyróżniono Joannę Podgórską, również z Lubina. Nagrodzone prace pokazano, w wyborze, w Klubie Turysty PTTK we Wrocławiu. Rynek 11/12. Wystawa była czynna do 31.12.1990 r., a potem przekazano ją do Sobótki.

Zaplanowano na 1991 r. plener i konkurs fotograficzny również uwzględnia pomniki przeszłości, a także walory krajobrazowe Słęży.

Halina Gosławska

## I tak się trudno rozstać...

Ale też tak naprawdę nie rozstajemy się. Trudno, ostatni, XII Zjazd Krajowy wypowiedział się przeciwko dalszemu funkcjonowaniu zarządów wojewódzkich jako zbędnych ogniw pośrednich w zarządzaniu Towarzystwem. Po wakacjach ub. roku przystąpiono do poczynań likwidacyjnych. Po odpowiednich przygotowaniach 18 grudnia wrocławski Zarząd Wojewódzki zebrał się ostatni raz, gromadząc ponad 50 osób. Szkoda, iż nie było przy tym fotografic: cała plejada znakomitości petetekowskich z województwa wrocławskiego! Krótka, ciepła mowa wspomnieniowa wiceprezesa ZW, a zarazem wiceprezesa ZG, Krzysztofa R. Mazurskiego, przypomnienie okazji i okoliczności przez prezesa ZW, Bronisława Zathę, i wreszcie najbardziej chyba wzruszający moment: uroczyste przekazanie sztandaru ZW, którym był sztandar jeszcze Zarządu Okręgu, otrzymany w 1975 r. w Polanicy-Zdroju na jubileusz 25-lecia PTTK na Dolnym Śląsku. Delegacja i prezes ZW wręczyli go reprezentantom Zarządu Oddziału Wrocławskiego PTTK, który jest największym oddziałem w naszym regionie i posiada w dodatku własną siedzibę. Oddział będzie go przechowywał z właściwą troską, gdyż sztandar symbolizuje ogrom pracy i zaangażowania, włożony przez dolnośląski aktyw Towarzystwa w życie organizacji i całego społeczeństwa. Być może, nadejdzie znów taka chwila, iż zostanie on na powrót wręczony jakiejś jednostce ponadoddziałowej.

Były na zakończenie działalności ZW odznaczenia i pamiątkowe książki, serdeczne rozmowy i wspominki. Przy jednym stoliku zbrali się, na przykład, wszyscy urzędujący członkowie Prezydium Zarządu Okręgu, a potem ZW: Zbigniew Kukiz, Jerzy Herbut, Kazimierz Tumski, Krystyna Karbownik, a Stanisław Nosol, zamykający ich listę, biegł zaferowany po sali. Mimo to nie było smutno, co najwyżej nostalgicznie. Odczytano bowiem decyzję Prezydium ZG, iż we Wrocławiu od 1 stycznia rusza Regionalny Ośrodek Programowy na bazie Regionalnej Pracowni Krajoznawczej. Akces do niej zgłosili już dolnośląscy narkowie, krajoznawcy, przewodnicy, górale. Znów, choć w innych formach, będziemy mogli się spotykać w starych, przyjacielskich gronach, jak dawniej, jak do 1975 r. Zapewne wszyscy znajdą w ROP dobre zaplecze do dalszej działalności, a przecież ośrodek ma w planie swoje własne prace. Będą one służyły całej naszej dolnośląskiej braci turystyczno-krajoznawczej. A więc, mimo wszystko, wkraczamy w 1991 r. z dużą nadzieją.

### OSSOLINEUM oferuje:



**Stanisław Maczek: Od podwoły do czołga. Wspomnienia wojenne 1918-1945.**

Wyd. 1 krajowe, 21x15 cm, 22 a.w., 70 il., cena 16 000 zł

**Klemens Rudnicki: Na polskim szlaku.**

Wyd. 1 krajowe, 15 a.w., cena 15 000 zł  
Wspomnienia gen. Rudnickiego - zastępcy szefa sztabu Armii gen. Andersa, dowódcy 1 Dywizji Pancerniej w Niemczech - dotyczą lat 1939-1947, szczególnie aresztowania i więzienia w ZSRR oraz pracy w sztabie Armii gen. Andersa.

**Michael Howard: Wojna w dziejach Europy.**

Tł. z ang., 10 a.w., cena 12 000 zł  
Przystępna zwięzła synteza pióra wybitnego historyka angielskiego. Od X w. do współczesności, ze szczególnym uwzględnieniem zmian zachodzących w sposobie prowadzenia walk i związanych z tym przemian w społeczeństwie.

**Park Narodowy Sagarmatha. Sierpowie i ich ojczyzna pod Mount Everestem. Red. Jan Drdos.**

Tł. z j. słowackiego. 27x24 cm, 24 a.w., 7 tabl., 5 map. 35 il. cz.-b. i 72 kolor., cena 29 000 zł.

**Maciej Eagiewski: Mosty Wrocławia**

136 il., 2 tabl., streszcz. i objaśnienia il. również w jęz. niemieckim, twarda oprawa, cena 6 000 zł.

**Stanisław S. Nieleja: Cmentarz Obrońców Lwowa**

20x18 cm, 30 a.w., pł. obwol., 286 il. cena 50 000 zł.

Kolejna książka autora "Cmentarza Łyczakowskiego". Fakty historyczne, z których wyrosła legenda Orląt Lwowskich; szkice i biogramy obrońców Lwowa; bogata część ilustracyjna.

**Słownik literatury staropolskiej. t. 1,2.**

Red. Teresa Michałowska  
S. "Vademecum Polonisty". 24x17 cm, 110 a.w., cena 70 000 zł.

207 haseł obejmujących blisko 600 lat dziejów piśmiennictwa polskiego od średniowiecza do baroku, w ujęciu diachronicznym.

**J. Elliott, C. King: The Osborne Children's Encyclopedia.**

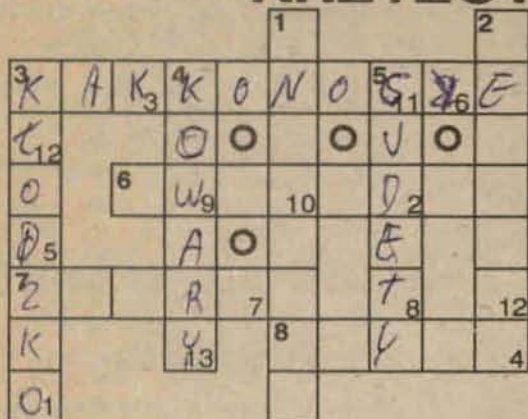
25x19 cm, 60 a.w., pł., il., cena 59 000 zł  
Angielskojęzyczna bogato ilustrowana, utrzymana w atrakcyjnej "komiksowej" stylistyce encyklopedia dla dzieci.

**W najbliższym czasie ukażą się:**  
Słownik literatury polskiej XIX w.  
J. Kasprówiec, Wybór poezji  
D. Lichaczow, Poezja ogrodów  
K. Gyula, Meble stylowe

Sprzedż gotówkową książek prowadzą m. in. księgarnie własne Wydawnictwa Ossolineum:

Rynek 6, 50-106 Wrocław  
(także sprzedaż wysyłkowa)  
ul. Eagiewnicki 56, 80-855 Gdańsk  
ul. Piotrkowska 181, 90-447 Łódź  
ul. Św. Janna 28, 31-018 Kraków

# KRZYŻÓWKA



## POZIOMO:

5) Najwyższe pasmo górskie na Dolnym Śląsku; 6) Zespół umocnień - w widłach Narwi i Wisły, część Nowego Dworu nosi nazwę "modlińskiej"; 7) Miasto w Arabii Saudyjskiej, ośrodek wydobycia ropy naftowej; 8) Bogini egipska, wzorową żoną Ozyrysa.

## PIONOWO:

1) Przedsiębiorstwo turystyczne z siedzibą w Kłodzku; 2). Symbole władzy; zobaczysz je na Wawelu; 3) Miasto nad Nysą Kłodzką w woj. walbrzyskim; 4) Miasto znane z produkcji dywanów; 5) Góry w Polsce i Czechosłowacji z najwyższym szczytem Śnieżką (1602 m).

Litery z pól ponumerowanych w dolnym, prawym rogu, uszeregowane w kolejności od 1 do 13 dadzą pytanie, odpowiedź na które stanowi rozwiązanie tej krzyżówki.



**NA WYCIECZKI!  
TYLKO Z NAMI!**

**ODDZIAŁ PTTK WROCŁAW FABRYCZNA  
KLUB PRZEWODNIKÓW  
TURYSTYCZNYCH**

**PROPONUJE USŁUGI PRZEWODNICKIE**

GÓRSKIE SUDETY  
TERENOWE DOLNY ŚLĄSK  
MIEJSKIE WROCŁAW  
ORAZ PILOTAŻ WYCIECZEK  
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

**\* CENY KONKURENCYJNE \***

Blisze informacje:

Biurowisko Oddziału PTTK Wrocław - Fabryczna  
ul. Kościuszki 13/5, 50-037 Wrocław  
Tel. 44-79-80

## SERWIS INFORMACYJNY CENTRUM INFORMACJI TURYSTYCZNEJ WE WROCŁAWIU

ul. Kazimierza Wielkiego 39, tel. 44-31-11

### Wykaz nowo otwartych obiektów noclegowych na terenie

#### Polski:

**Hotel "Gessler i Maria" - prywatny, kategoria \*\*\***

00-676 Warszawa, ul. Marchlewskiego 71, tel. 38-40-62, ttx 81-77-57  
42 miejsca noclegowe w pokojach 1- i 2-osobowych z łazienkami,  
2 apartamenty. Na miejscu restauracja na 100 miejsc konsumpcyjnych.

**Hotel Turystyczny - prywatny**

00-350 Warszawa (Bródno), ul. Św. Wincentego 87, tel. 11-79-39, 11-02-00  
90 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych. Na miejscu kawiarnia.

**Pensjonat "Ambasador" - prywatny**

04-991 Warszawa-Falenica, ul. Waltera 1, tel. 12-93-44  
12 miejsc noclegowych w pokojach 2-osobowych oraz 2 apartamenty.  
Na miejscu restauracja na 70 miejsc konsumpcyjnych oraz bar kawowy. Przy pensjonacie zespół 10 domków turystycznych typu "Kampinos", 5-osobowych z pełnym węzłem sanitarnym.

**Hotel "Warszawianka" - prywatny**

00-795 Warszawa, ul. Piaseczyńska 71, tel. 48-24-66  
26 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3- osobowych z umywalkami. Na miejscu kawiarnia.

**Hotel "Marta" - Ośrodka Doskonalenia Kadr Ministerstwa Przemysłu, kategoria \*\*\***

05-510 Konstancin-Jeziorna, ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 56-44-27, 56-34-28  
48 miejsc noclegowych w pokojach 2-osobowych i 2 apartamenty.

**Hotel "Sudety" - Funduszu Wczasów Pracowniczych**

58-580 Szklarska Poręba, ul. Krasickiego 10, tel. 17-22-25 i 17-27-36  
126 miejsc noclegowych w pokojach 1-, 2- i 3-osobowych z łazienkami (telefon i TV w każdym pokoju) Na miejscu restauracja na 88 miejsc i cocktail-bar na 40 miejsc.

**Hotel "Mesko" - Zakładów Metalowych "Mesko"**

26-111 Skarżysko-Kamienna, ul. Armii Ludowej 130, tel. 53-40-39  
70 miejsc noclegowych w pokojach 2-, 3- i 4-osobowych z łazienkami.

**Hotel "Promień" - Zakładów Metalowych "Mesko"**

26-111 Skarżysko-Kamienna, ul. Armii Ludowej 105, tel. 53-40-46  
33 miejsca noclegowe w pokojach 1-, 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz apartamenty. Na miejscu restauracja.

**Hotel "Atut" - Przedsiębiorstwa Wielobranżowego "Atut", kategoria \***

09-498 Płock 10, ul. Borowiecka 3, tel. 252-51 w. 58  
50 miejsc noclegowych w pokojach 1-, 2- i 3-osobowych. Na miejscu cafe-bar, sala klubowa i dyskoteka.

**Hotel "Pod Jodłą" - gestor "Furnel-Travel" i PP "Uzdrowisko-Iwonicz"**

38-440 Iwonicz-Zdrój (woj. krośnieński), al. Torosiewicza 3, tel. 501-15 i 501-22

75 miejsc noclegowych w pokojach 1- i 2-osobowych z łazienkami. W pokojach lodówki, radioodbiorniki i TV-sat.

**Pensjonat "Opal" - prywatny**

Opaleniec 32a, poczta 06-330 Chorzele, skrytka pocztowa 55 (woj. ostrołęcki), tel. Chorzele 92

15 miejsc noclegowych w pokojach z łazienkami. W pensjonacie sauna z basenikiem, ogród zimowy pod szkłem z kominkiem, solarium z wieżą widokową.

**Hotel "Orion"**

41-200 Sosnowiec, ul. Przyjaciół Żołnierza 5a, tel. 66-18-97, ttx 031-5467

miejsca noclegowe w pokojach 1- i 2-osobowych oraz apartamenty.

**Hotel "Alexado" - Przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego**

43-460 Ustron-Polana, ul. Świerkowa 1 (woj. białski) tel. 23-00, ttx 38499

16 miejsc noclegowych w pokojach 1- i 2-osobowych z łazienkami oraz apartamenty. W każdym pokoju telefon, radio i TV. Na miejscu restauracja i bar gastronomiczny.

**Dom Wycieczkowo-Noclegowy - Spółdzielnia Pracy "Alma"**

31-826 Kraków-Nowa Huta, Osiedle Złota Jesień 11A, tel. 48-02-94, ttx 032-6321

Miejsca noclegowe w pokojach 1-, 2- i 4 osobowych, na miejscu urządzenia sportowe

**Hotel "Narew" nad Zalewem Zegrzyńskim na trasie Warszawa-Pułtusk**

05-140 Serock, ul. Pułtуска 132 tel. 74-71-20, 74-71-25, 74-71-26, 74-75-25

60 miejsc noclegowych w pokojach 1- i 2-osobowych z łazienkami oraz apartamenty. W każdym pokoju telefon, radio i TV. Na miejscu jadalnia, sala bankietowa, kawiarnia i sale konferencyjno-szkoleniowe.

Podajemy adresy placówek Informacji Turystycznej na terenach górskich, które mogą pomóc i doradzić, jak wypocząć w górach w sezonie zimowym:

Jelenia Góra, ul. Grodzka 16, tel. 265-73

Katowice, ul. Młyńska 11, tel. 53-95-66

Bielsko-Biała, ul. Piastowska 2

Kielce, ul. 1 Maja 12, tel. 486-66 i 412-11 w. 204

Kraków, ul. Pawia 6, tel. 22-04-71

Nowy Sącz, ul. Jagiellońska 46a, tel. 237-24

Opole, ul. Książąt Opolskich 22, tel. 354-80

Wałbrzych, Al. Wyzwolenia 32, tel. 220-00